

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 27 lipca 1952 r.

Nr 30 (348)

KONSTYTUCJA LIPCOWA

W NUMERZE m. in.:

M. JAWOR — Z dziejów feudalnych „staropruskich enót“

A. TONCHU RU — „Topór z Wandsebek“

SABAHATTIN ALI — Moja praca

A. ŁĄCZYŃSKA — Między dawnymi a nowymi czasami

J. DOMAŃSKI — Literatura polsko-lacińska

MANIFEST Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, wydany w Chełmie, dnia 22 lipca 1944 roku zapowiadał opracowanie przez pierwszy powojenny Sejm Rzeczypospolitej nowej konstytucji dla zastąpienia tymczasowo obowiązujących podstawowych przepisów konstytucji marcowej. Zobowiązanie to zostało spełnione po ośmiu latach. Tych osiem lat zostało przeznaczonych na intensywną pracę nie tylko nad podniesieniem kraju z ruin i chaosu politycznego, w jakim pozostawiła go wojna. Lata te także zostały wypełnione trudną i odpowiedzialną pracą przygotowywania zębów nowego ustroju. Dlatego właśnie nie wcześniej jak w osiem lat po ogłoszeniu Manifestu Lipcowego można było uchwalić nową konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dziś wszyscy dobrze sobie zdajemy sprawę, iż wszelkie próby redagowania konstytucji wcześniej, na przykład w okresie 1947 — 1949 dalyby w rezultacie ustawę nietrwałą, którą trzeba by było wcześniej czy później rewidować. Konstytucja zaś, opracowana w roku 1952, gdy organizm polityczny Polski Ludowej już okrzepł, gdy nowe formy społeczne posiadają już swe wyraźne oblicze, gdy Plan Sześciolletni jest już w połowie wykonany — posiada wszelkie znamiona trwałości.

W chwili ogłoszenia nowej Konstytucji trzeba więc rzucić okiem wstecz i dokonać przeglądu tego dzieła, które stanowi oczywistą podstawę, na której zbudowany jest Ustrój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

W lipcu 1944 Polska była przecięta linia frontu i na naszych terenach toczyły się najbardziej zacięte walki. Bestia hitlerowska, śmiertelnie ugodzona od czasów Stalingradu, jeszcze zbierała ostatnie siły, jeszcze była groźna. Kraj cierpiał, więzienia były pełne, kominy obozów dymły i nie milkły salwy plutonów egzekucyjnych. Warszawa była w przededniu katastrofy, wywołanej zbrodniczą krótkowzrocznością Londynu.

Hitlerizm został pokonany. Nad gruzami Reichstagu załopotał zwycięski sztandar. W sercu pruskiego, w Poczdamie podpisany został między zwycięzcami układ, który zobowiązywał wszystkich nie tylko do ostatecznego wytopienia hitlerizmu, lecz do przywrócenia się do odbudowy nowych, demokratycznych i pokojowych Niemiec. Tenże sam układ poczdamski przyznawał Polsce prawo do Ziemi Zachodnich i określał naszą granicę na Odrze i Nysie. W roku 1952 musimy stwierdzić, iż układ poczdamski został przez dyplomację amerykańską złamany. Politycy amerykańscy nie tylko jawnie poparli rewizjonizm i militarizm pruski, ale przyjęli rolę oficjalnych opiekunów i protektorów niedobitków niemieckiego imperializmu. Mimo złamania układu poczdamskiego, mimo odtworzenia w Niemczech zachodnich obozu pruskiego wstecznictwa, mimo faktycznego powołania przez układ separatystyczny z rzą-

dem bońskim sił zbrojnych pod dowództwem byłych hitlerowskich generałów — Polska nie tylko trwa na Ziemiach Zachodnich, nie tylko odbudowuje je i wzbogaca, lecz cieszy się dziś wypróbowanym sojuszem z Niemiecką Republiką Demokratyczną i czuje się na siłach pokrzyżować każdą próbę wprowadzenia w czyn grózb niemieckich i amerykańskich rewizjonistów. Za wściekłymi pogrozkami miotanymi w Bonn na Polskę przez niemieckich reakcjonistów kryje się poczucie zupełnej bezsilności wobec niezłomnego sojuszu Ludowej Polski i Demokratycznych Niemiec.

Ta sytuacja bez precedensu w dziejach polskich byłaby nie możliwa, gdyby polityka nasza, od pierwszych dni PKWN nie oparła się w sposób zdecydowany na sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Wiemy dziś co kosztowała nas naród fantastyczna orientacja emigracji londyńskiej, próbująca opierać swą wsteczną politykę o sojusz z Anglosasami i wrogą do Związku Radzieckiego. Abstrahując już od wyraźnej reakcyjnej społecznie wymowy tej orientacji — dać ona mogła Polsce tylko takie klęski jak powstałe warszawskie, i takie konsekwencje jak upokarzające konszachty emigrantów z Adenauerem, Schumacherem w chwili obecnej, a jutro — podporządkowanie jakiegos Ander- sa czy Kopańskiego generałowi Wehrmachtu, może Guderianowi, który wydał rozkaz zniszczenia Warszawy, a może bezpośrednio von dem Bachowi który go wykonał! Sojusz ze Związkiem Radzieckim jest więc dziś dla Polski nie tylko oczywistą konsekwencją wejścia świadomie w skład światowego obozu socjalizmu, ale jest realizowaniem najbardziej oczywistych nakazów naszej narodowej racji stanu.

Dzieli nas już osiem lat od chwili, gdy przez ziemie polskie przechodził front. Po ośmiu latach pracy nad gojeniem zadanych nam wówczas ran — dziś znowu grożą nam wojna. Od dwóch lat walka toczy się na dalekiej Koral. Tem, który odznaczył się tam swym barbarzyńskim, bezlitosnym sposobem prowadzenia wojny, kat jeńców wojennych, eksperymentator wojny bakteriologicznej — generał Ridgway jest dziś wielko- rządca i naczelnym wodzem wojsk na zachodzie Europy. Naród polski może jednak ze spokojem patrzeć w przyszłość, oparty na trwałych sojuszach ze Związkiem Radzieckim, z NRD, ufny w przyszłą sędziwską demokrację ludową i świadom przyjaźni mas ludowych na zachodzie. Niemniej jednak gorączkowa działalność podżegaczy wojennych — Eisenhowerów, Ridgwayów, Mac Arthurów, Dullesów, Achesonów zmusza nas dziś do wzmocnienia czujności nad naszą obronnością. Fakt, że młodzież polska parę dni temu uroczyście zobowiązała się do umocnienia siły naszego lotnictwa jest tylko jednym dowodem więcej, że obronność nasza rozwijać się będzie równoległe z osiągnięciami nad realizowaniem pokojowych

wytycznych Planu Sześciolletniego. Ci bowiem, którzy przyjmowali w dniu 22 lipca piszcę nad polskim lotnictwem są tymi samymi młodzieżowymi przodownikami pracy, którzy budują MDM, Nową Hutę, pracują w Hucie Częstochowa, w kopalniach, we wszystkich warsztatach naszego kraju.

Z przemówienia Prezydenta Rzeczypospolitej wiemy, że dochód sektora uspołecznionego stanowi dziś 73% całego dochodu narodowego. Możemy przeto powiedzieć, że dziś kraj nasz gospodarczo jest już w 73% krajem socjalistycznym. Była to droga trudna, wysiłek wielki dla całego społeczeństwa. Jeśli dziś możemy się szczycić i cieszyć osiągnięciami gospodarki socjalistycznej na najróżniejszych odcinkach, to wiemy również z jakim trudem trzeba je codziennie wywalczać. Wiemy też, że przechodzenie od nieskładnych form gospodarki indywidualnej, trójsektorowej, do obecnych musiało kosztować wiele, i że proces ten nie jest jeszcze zakończony. Uszliśmy jednak tak wielki odcinek drogi, że był już czas najwyższy, aby Konstytucja między innymi określiła oblicze prawne całej nowej struktury tak gospodarczej jak i społecznej, wynikającej z tej właśnie cyfry — 73%.

PRZED nami jeszcze problem najtrudniejszy i najważniejszy — zagadnienie wsi. Wiemy również z przemówienia Prezydenta, że wieś nasza dopiero w 16% gospodaruje metodami uspołecznionymi. W 84% jest ona jeszcze wyrazem dawnych, przedrewolucyjnych form gospodarki. Pewnie, wiele się mimo tego na wsi zmieniło. Przeludnienie wsi jest już dziś tylko wspomnieniem historycznym. Nędza i niż kulturalny także zostały przewyciężone. Na polach wiejskich spotykamy dziś traktory i najnowocześniejsze maszyny rolnicze, a we wsiach biblioteki, świetlice, kina, a nawet coraz częściej przychodnie lekarskie, żłobki, przedszkola. Niemniej gospodarka wsi musi nadążać za wzrastającymi potrzebami miasta i wszyscy musimy dołożyć największych starań, aby wieś włączyła się jak najprędzej w przyspieszony rytm naszego ekonomicznego i kulturalnego rozwoju. Jest to problem wyjątkowo trudny, wyjątkowo odpowiedzialny i nie zabraknie tu zadań dla każdego, kto wykaże się uczciwym stosunkiem do Polski Ludowej.

Musimy pogłębiać w sobie świadomość, iż jesteśmy gospodarzami naszego kraju. Są w Polsce środowiska, które tej myśli dotąd nie chcą przyjąć do wiadomości. Dziwna mentalność! Ludzie ci nie raz boleją nad utratą na rzecz sektora uspołecznionego takiej czy innej prywatnej imprezy gospodarczej, a nie chcą dostrzec, że ustrój socjalistyczny otwiera przed nimi perspektywy gospodarzenia całym krajem, ponoszenia odpowiedzialności za dobrobyt wszystkich wokół, a nie tylko za swój własny.

Konstytucja nowa tym się różni od wszystkich poprzednich, że nie jest abstrakcyjnym zbiorem

norm prawnych, ale jest podsumowaniem dotychczasowego dorobku i ustaleniem drogi, po której zamierzamy dalej kroczyć. Nie sposób znać i rozumieć Konstytucję Lipcową, jeśli się nie zna i nie rozumie, podstawowych problemów gospodarczych, społecznych i kulturalnych naszego kraju w chwili obecnej. Musimy też sobie wszyscy powiedzieć jasno, iż pierwszym obowiązkiem obywatelskim, jakim nam Konstytucja nakłada, bez względu na to, w czym się różniły przekonania, to właśnie obowiązek pełnej, rzetelnej znajomości tego wszystkiego co się w naszym kraju dziś dokonuje wspólnym wysiłkiem. Tym bowiem różni się epoka socjalizmu od epoki kapitalizmu, że wówczas przemiany następowały tylko w wąskim kręgu tych, którzy z tych przemian czerpali przywileje i dochody, podczas gdy dziś wśród nieustannych przemian przeobraża się cała struktura społeczna i wszyscy odczuwamy konsekwencje tych zmian. Wszyscy bierzemy udział w wysiłku tworzenia, wszyscy ponosimy ciężary, ale też wszyscy korzystamy z owoców tej pracy.

Dlatego przed wojną każdy z nas przechodził obojętnie obok domu wznoszonego przez kamienicznika. Cieszył się mógł tylko ten, kto wiedział, że stać go będzie na zapłacenie drogiego w nim mieszkania. Dziś zaś cieszymy się wszyscy, gdy widzimy wznoszące się domy, odbudowujące się dzielnice, cieszymy się bez względu na to, czy to my, czy bliźni nasi będą w tych domach mieszkać. Idąc po ulicach Warszawy i patrząc na rosnące wokół zabytkowe i nowoczesne budowle czujemy bowiem to samo, co czuje gospodarz, gdy patrzy jak rośnie zboże jego ręką zasiane.

PRZED nami, katolikami, nowa konstytucja stawia szereg problemów, które wymagają uważnego przemyślenia. Problemów nie nowych i pismo nasze już wielokrotnie w różnych okolicznościach je rozważało.

Konstytucja stawia przed całym społeczeństwem zobowiązanie konsekwentnego budowania państwa socjalistycznego. Ratyfikując dotychczasowe wysiłki na tym polu, określa nowe zadania. Jakkolwiek istnieją podstawowe różnice filozoficzne między światopoglądem chrześcijańskim a materialistycznym, budowanie zębów społeczno-gospodarczych ustroju socjalistycznego nie musi być całkowicie w ramach społecznych zobowiązań katolika wobec Polski Ludowej. Akt Porozumienia przeciął na tym odcinku wszelkie wątpliwości, gdyż bez tego założenia jest on w ogóle niemożliwy.

Z drugiej strony jednak nie znajdujemy w Konstytucji Lipcowej żadnego paragrafu, określającego jakiegokolwiek zobowiązania światopoglądowe. Obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej może budować naszą socjalistyczną rzeczywistość tak samo dobrze jako katolik, jako marksista, jako bezpartyjny, jako apolityczny czy bezwyznaniowy. Poza marginesem

społeczeństwa znajdują się tylko ci, którzy określonym konkretnie prawom i zdobyczom ludu pracującego miast i wsi chcieliby cokolwiek uszczknąć.

Konstytucja wprowadza formalnie zasadę rozdziału Kościoła od Państwa. Faktycznie zasada ta już obowiązuje od dawna, choć nie wyklucza ona istnienia odcinków współpracy, czy jeśli chodzi o prawo dla katechetów do wykładania religii czy o prawo prowadzenia szkół prywatnych tak długo, jak na to będą przepisy pozwalać, czy też prawo kontynuowania na pewnych odcinkach akcji charytatywnej. Formalnie jednak postawienie zasady rozdziału Kościoła od Państwa (podbudowując tę Konstytucję, iż Państwo nie może określać żadnego światopoglądu jako obowiązującego), zobowiązuje nas tym bardziej do umacniania linii współpracy, wytyczonej aktem Porozumienia między Hierarchią Kościoła Katolickiego i Rządem Polskiej Ludowej. Należy tu też podkreślić, że Prezydent Rzeczypospolitej, jako Przewodniczący Komisji Konstytucyjnej potwierdził, iż Konstytucja, ujmując w normy prawne stan faktyczny, uprzednio istniejący zasad tego Porozumienia w niczym nie podważa.

Omówiliśmy na wstępie wagę ogólnospołecznych i ogólnogospodarczych zadań, stojących w chwili obecnej przed całym społeczeństwem. Podkreśliśmy również zrozumienia warunków, tak zewnętrznych jak i wewnętrznych, w których zadania te należy realizować. Dla nas, katolików w Polsce istnieje jeszcze dodatkowe, ważne zadanie — budowania trwałych form współzycia różnych światopoglądów w ramach jednego, socjalistycznego społeczeństwa. Zarówno wysiłek, na jaki naród musi się zdobyć, jak i trudności i niebezpieczeństwa, jakie stwarza wroga akcja imperializmu kapitalistycznego zobowiązuje nas do przeciwstawienia się próbom szczywania w kraju dywersji przez jątrzenie i rodmuchiwanie podziałów wyznaniowych, czy politycznych. Działając zgodnie z przykazaniami Kościoła i obowiązkami katolika, chcemy jednak przyczynić się jak najpełniej do umacniania atmosfery pokoju we wnętrzu i budowania Frontu Narodowego, na którym opiera się obrona pokoju i realizacja Planu Sześciolletniego.

Ze swej strony realizujemy ten obowiązek tylko wówczas, jeśli nie przestaniemy pogłębiać naszego światopoglądu katolickiego, a jednocześnie nie przestaniemy oczyszczać społeczności katolików ze wszelkich wpływów społecznie i politycznie reakcyjnych. Na takiej bazie oparte różnice, nie będą stały już w sprzeczności z zadaniem rzetelnego, wspólnego budowania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Wierzmy głęboko w dojrzałość wszystkich katolików, świeckich i duchownych w wypełnianiu tych zobowiązań wobec własnego Kościoła i wobec własnej Ojczyzny.

Dorozmawiamy...

Przewielebny Księżę „Proboszczu z Poznania”.

MAMY już w tece dwa listy Księdza Proboszcza, oba jako reakcję na artykuły, pojawiające się na naszych łamach, oba jednakowo, mocno krytykujące fakt iż nasza publicystyka podkreśla podział na katolików społecznie postępowych i konserwatywnych. „W żadnym razie nie pogodzę się z takim podziałem, pisze Ksiądz. Jest on dla mnie wprowadzaniem wśród synów Kościoła niedozwolonych podziałów. W konfesjonale nie rozróżniam „postępowców” od „konserwatystów”. W poprzednim zaś liście pisałem nam Ksiądz jeszcze „nie znajdziecie w historii katolicyzmu stosowanej przez Was linii podziału. Postępowość jest pojęciem ideologicznie obcym katolicyzmowi”.

Nic więcej nie wiem o poglądach Księdza Proboszcza, więc nie śmiem ich interpretować. Być może, że nieporozumienie jest czysto słowne, że w swej osobistej działalności, czy postawie społecznej jest ksiądz znacznie dalszy od konserwatyzmu niż postępowości, a po prostu razi Go sama nazwa, którą, przyznając, posługiwały się przede wszystkim kierunki ideowe nie-chrześcijańskie. Spór czysto słowny zostawmy jednak na boku, chodzi tu przede wszystkim o merytoryczną różnicę naszych poglądów.

Zawsze podkreślaliśmy, że nie wolno nam sądzić katolików, jako katolików. Stopień naszej wierności nauce Chrystusa ocenić może tylko Kościół. Nam jednak wolno dzielić katolików według pewnych kryteriów ich doczesnej działalności. Wolno nam dzielić katolików na Polaków, Niemców, Anglików czy Włochów. Powiedzenie — lepszy katolik bo Włoch, byłoby nonsensem, niemniej jednak nie ulega wątpliwości, że mamy prawo odróżniać katolika-Włocha od katolika-Polaka i możemy do osiągnięcia każdej z tych narodowości podchodzić krytycznie. Nikogo to nie razi, podział narodowościowy jest powszechnie przyjęty. Natomiast fakt, że katolicka myśl społeczna nie precyzowała dotąd dostatecznie wyraźne własnych linii podziałów, a co za tym idzie i oceny. A przecież, choć kierowana zasadami przez Kościół głoszoną, społeczna działalność katolicka jest tak samo zróżnicowana, jak i działalność narodowa. Różne okresy cechowały różne prądy, krzyżujące się, czasem walczące ze sobą. Mamy niezaprzeczalne prawo je oceniać. Trzeba sobie wyrobić kryteria oceny. Postępowość i konserwatyzm jest, naszym zdaniem, niezbędnym elementem tej oceny. W istocie społeczna postawa katolików ma od dłuższego czasu wyraźną tendencję ku hołdowaniu konserwatyzmowi, i to skrajnemu. Konsekwencje tej postawy były najbardziej szkodliwe nie tylko dla skutecznej aktywności społecznej, ale także dla autorytetu Kościoła w tych warstwach, które konserwatyzm społeczny specjalnie ciemnił. Zacierając podział na katolików społecznie postępowych i konserwatywnych, udzielamy porzucenia tradycjom wyraźnie konserwatywnym.

Może przykład: przypadkiem wpadł mi do ręki popularny podręcznik historii Kościoła, ks. Archutowskiego i ks. Rychnickiego, wydany w roku 1948, zapewne przedruk, może poprawiony wydania przedwojennego. Zauważyłem, że słowo „postęp”, „postępowość”, tak samo jak „konserwatyzm” czy „reakcyjność” nie został tam ani razu użyty w rozdziałach dotyczących dziejów Kościoła w w. XIX i XX. A przecież zagadnienia życia społecznego są tam uwzględnione. Zauważyłem przy tym, że z pisarzy francuskich właściwie tylko konserwatystów wysunięto tam na czoło — de Maistre, Chateaubrianda, że pisząc o Ozanamie skrzętnie unikano wspomnienia nawet, iż był on demokratą, że walczył o uznanie form republikańskich, o zarzucenie tradycyjnego przywiązania katolików do monarchii. Zauważyłem również, że nie tylko nie wspomniano o problemie Lamennais i tendencji liberalnych ani o problemie Marka Sangnier i sprawie Sillon — ale nawet nie wspomniano w tym podręczniku o aktywności Leona XIII na odcinku „ralliement” (pogodzenia) katolików francuskich z III Republiką!

Wtedy zrozumiałem słowa pewnego studenta, gorliwego katolika, który wysłuchawszy pogadanki o rozwoju społecznie postępowej myśli katolickiej, powiedział mi szczerze, iż dotąd w ogóle nie spotkał się z tym zagadnieniem. Wszystko to, co usłyszał o różnych tendencjach społecznych wśród katolików w w. XIX i XX — było dla niego nowością! Jeśli by tak miała być wychowana inteligencja katolicka, jeśli taka miałaby być znajomość wielkich doświadczeń przeszłości, to, Księżę Proboszczu — jakież perspektywy na przyszłość?

Albo getto kulturalne i zaklepienie się w formułkach, albo świeża myśl katolicka, stale odnawiająca się w bezpośrednim kontakcie z życiem i doświadczeniem: albo konserwatyzm myślowy i społeczny — albo postępowość społeczna. Myśmy dokonali wyboru. Nie wątpię, że po zastanowieniu, ostateczny wybór Księdza Proboszcza ustawi go, w dziedzinie spraw społecznych, po stronie postępu.

W.K.

Wzmağa się wyzysk w koloniach

TRUDNOŚCI polityki rządu Płewna w Afryce Północnej w ostatnim czasie żywo zajmują opinię i prasę francuską. Zagadnienie to było nawet przedmiotem długotrwałych debat Zgromadzenia Narodowego. Obrady te na skutek ich zupełnej bezradności „Témoignage Chrétien” nazywa żalosnym widowiskiem.

Obok sprawozdania z posiedzenia parlamentu w tym samym numerze „Témoignage Chrétien” (z dn. 27.VI. br.) znajdujemy obszerny artykuł pióra Fernanda Frutes gruntownie analizujący polityczną i gospodarczą sytuację we francuskiej Afryce Północnej.

Analiza katastrofalnego stanu gospodarczego (choć autor nie wyciąga z niej żadnych wniosków) ujawnia nieuchronny kryzys, który przy kapitalistycznej polityce kolonialnej musi pogłębiać się coraz bardziej. Zarówno Alger, Tunis, jak i francuskie Maroko mają ubogie gleby i cierpią na brak opadów. Równocześnie przyrost ludności jest znaczny (około 400.000 rocznie). W tych warunkach konieczny jest bardziej niż gdziekolwiek indziej, zakrojony na dużą skalę, plan inwestycyjny tak w dziedzinie przemysłu, jak i rolnictwa, które bez irygacji wodnych nie może się rozwijać.

Przemysł północno-afrykański na skutek czasowej i sztucznej koniunktury przeżył w czasie wojny okres rozwoju. Tłumaczy się to ucieczką kapitałów z okupowanej Francji. Tworzone wówczas fabryki rozwijały się jednak pomyślnie tylko w warunkach wojennych, a wraz z zakończeniem wojny weszły w fazę chronicznego kryzysu, który trwa dotychczas.

Poważny wzrost produkcji notowany jest tylko w dziedzinach ważnych z punktu widzenia potrzeb wojennych. Zwłaszcza wydobywanie takich surowców jak nafta, ołów, cynk, bardzo poważnie się podniosło. Jednak poza nieznacznym wzrostem zatrudnienia kraje afrykańskie nie czerpią z rozwoju górnictwa żadnych korzyści. Jest ono fi-

nansowane przez kapitały francuskie, które znajdują tu bardzo rentowne lokaty. Praca jest niezwykle tania.

Taki stan rzeczy nie może nie budzić sprzeciwu ze strony ludności autochtonicznej. Protestuje ona przeciw temu coraz bardziej stanowczo.

Zła sytuacja w przemyśle jest niczym wobec wręcz katastrofalnego położenia rolnictwa. Mimo wspomnianego wyżej znacznego przyrostu ludności produkcja zbóż od okresu przedwojennego spadła z 22 milionów ton na 19. Spadek ten dla miejscowej ludności oznacza niedożywanie i głód. Co gorsza, nie widać żadnych realnych dróg wyjścia z kryzysu w rolnictwie.

Rolnictwu brak z jednej strony inwestycji przede wszystkim w zakresie podstawowych melioracji (za pory i kanały wodne), z drugiej zaś strony modernizacji metod pracy.

Jakkolwiek melioracje wodne są podstawową potrzebą rolnictwa północno-afrykańskiego, w systemie kapitalistycznym nie ma kto sfinansować takich na dużą skalę zakrojonych przedsięwzięć melioracyjnych. Są to inwestycje doraźnie mało rentowne i nie dają kapitałowi możliwości upłynięcia wkładów w ciągu krótkiego czasu.

Wcale nie lepiej przedstawia się perspektywa unowocześnienia metod gospodarki rolnej. Społeczna inicjatywa podjęta w tym kierunku zakończyła się fiaskiem — została stordedowana przez konserwatywne koła opinii francuskiej. Była to próba wprowadzenia we wsłach zamieszkałych przez ludność miejscową wspólnej uprawy mechanicznej pod kierownictwem fachowego agromoma. Równocześnie inicjatywę tę podjęły organizacje: w Algierii EAR (Organizacja postępu w rolnictwie), a w Maroku SMP (Organizacja unowocześnienia wsi). Mimo, że produkcja w licznych przedsiębiorstwach wzrosła dwukrotnie a czasem i więcej, trzeba było zaniechać tej metody z racji zacieklego oporu francuskich klas posiadających, które uznały ją za

komunistyczną, a więc zleniawioną i niebezpieczną.

Analiza streszczona tu w znacznym skrócie w sposób niezwykle sugestywny ukazuje błędne koło kapitalistycznej polityki gospodarczej.

Szczególnie w koloniach zjawisko to występuje w sposób jaskrawy. Podstawowe dziedziny życia gospodarczego, takie jak energetyka, budownictwo mieszkaniowe są całkowicie zaniedbane. Kapitały zaś lokowane są wyłącznie w tych przedsiębiorstwach, które zapewniają najwyższą rentowność i najdokładniejszą eksploatację ludności miejscowej. Burżuazja widzi ten oplakany stan rzeczy (bo niepodobna go nie dostrzec), ale jest wobec niego całkowicie bezradna i nie próbuje nawet zarządzić zru. Debata w parlamencie francuskim dobitnie o tym świadczy. Nikt z przedstawicieli ugrupowań burżuazyjnych nie próbował nawet wystąpić z jakimś konstruktywnym programem złagodzenia chociażby w małym stopniu katastrofalnego stanu rzeczy. Skuteczna reforma bowiem wymagała by radykalnych zmian.

Chociaż „Témoignage Chrétien” przeprowadza gruntowną i wnikliwą analizę gospodarczej sytuacji w Afryce Północnej, pismo to nie zdobywa się na zdecydowane wyciągnięcie wniosków z tego rozumowania. Podobnie jak debatujący i ad tym zagadnieniem posłowie parlamentu, tak i autor omawianego artykułu widzą jasno beznadziejność sytuacji, ale sami przed sobą i przed opinią nie śmia powiedzieć otwarcie, że tak długo jak długo panować będzie system kapitalistyczny, antagonizmy związane z tym systemem będą rosły — nie mały i konflikt społeczny będzie się wzmağał. Antagonizm interesów pracownika i pracodawcy jest bowiem kamieniem węgielnym tego ustroju. Konflikty mogą być bardziej lub mniej widoczne, nie zmienia to jednak faktu, że bezwzględna walka interesów jest podstawową zasadą całego mechanizmu życia gospodarczego w ustroju kapitalistycznym. Szczególnie jaskrawo zjawisko to występuje w koloniach.

NOTATNIK POLITYCZNY

POLĄCZENIE obchodu ósmej rocznicy Manifestu PKWN z uchwaleniem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Zlotem Młodych Przedowników Pracy i Nauki nie jest kwestią przypadku. Podobnie jak nowa Konstytucja stanowi twórcze uogólnienie już zrealizowanych wytycznych Manifestu Lipcowego tak i w młodzieży polskiej widziemy tę podstawową siłę narodu, która przede wszystkim podejmie brzemień odpowiedzialności za konsekwentną realizację wskazań naszej Ustawy Zasadniczej.

Owe 200 tysięcy młodych chłopców i dziewcząt, które gościliśmy przed paru dniami w Warszawie, to wymowny symbol przemian dokonujących się w naszej Ojczyźnie. Musimy sobie całkiem jasno uprzytomnić, że wszystkim tym młodym ludziom było danym kształtować swą świadomość w warunkach diametralnie różniących się od warunków w jakich wyrastały poprzednie polskie pokolenia. I choć młodzież ta niejednokrotnie miała sposobność zetknięcia się z pozostałościami ideologii młoczczańskiej jednak rzeczywistość społeczna i gospodarcza

przez nią oglądana, a obecnie i współtworzona była już inna: socjalistyczna. Ten właśnie fakt, a nie tylko naturalne przywileje młodości, jak szczególna wrażliwość moralna i potrzeba twórczej ekspansji — zdecydował o nadziei jaką Państwo Ludowe pokłada w nadchodzącym pokoleniu.

Trzydniowy Złot Warszawski poprzedziło wiele tygodni Czynu Przedzłotowego. Prócz oczywistych rezultatów produkcyjnych inicjatywa ta przyniosła często wręcz nieoczekiwane skutki wychowawcze. Niejednokrotnie młodzi ludzie zapoznani w nauce lub pracy wytwórczej musieli zdobyć się na duży wysiłek dogonienia, a nawet wyprzedzenia swoich kolegów kroczących w czołowie. Oczywiście nie małą rolę w takich wypadkach odegrała perspektywa radośnych dni warszawskiego spotkania. Niejednokrotnie o przystąpieniu do współzawodnictwa decydowały nie polityczne a po prostu sportowe ambicje. Ale w miarę coraz konkretniejszego starcia z praktyką także i szeroka problematyka patriotyczna związana z Przedzłotowym Czynem torowała sobie drogę do świadomości zapó-

nicznych adeptów współzawodnictwa.

Na Zlocie oglądaliśmy najlepszych. Pomyślmy, że takim właśnie przymiotnikiem obdarzyć możemy 200 tysięcy chłopców i dziewcząt rekrutujących się z wszystkich warstw narodu. Wszyscy oni coraz głębiej pojmują ścisły związek jaki zachodzi między zapewnieniem Polsce preżności gospodarczej i obronnej, a sprawą patriotyzmu i pokoju. Pracownicy PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych, budowniczowie stalowni częstochowskiej i górniczy z Wałbrzycha na własnym przykładzie i doświadczeniu mogli pojąć treść pasjonującej prawdy o przeobrażaniu się naszego narodu w naród socjalistyczny. Jak wiemy przeszło jedna trzecia uczestników Zlotu stanowiła młodzież niezorganizowana, i nie były czynione w doborze żadne rozróżnienia z punktu widzenia wyznawanych światopoglądów. Mamy przeto prawo powiedzieć, że na Zlocie tym obok przedowników pracy, świadomych marksistów, występowali również młodzi przodownicy pracy śladami katolickiej. Dla wszystkich Polaków

Złot był przypomnieniem, że odpowiedzialność za realizację Planu 6-letniego spada na wszystkich członków narodu, niezależnie od różnicy pokoleń, niezależnie od różnicy przekonań.

Zagraniczna propaganda, tak emigracyjna, jak i obca, czyniła i czyni usilne starania, by atmosferę wyteżonej pracy u nas w kraju rozładować poprzez stworzenie psychosychoz nadiągającej krucjaty religijnej. Tym aktem dywersji przeciwstawiła Polska swój zwarty Front Narodowy, w którym młodzież stanowi najbardziej wartościowe i bojowe szereg. Nie tracimy z oczu znaczenia konsekwentnej realizacji idei Porozumienia między Kościołem a Państwem Ludowym jako jednego z czynników przeciwstawiających się próbom szerszenia dywersji w społeczeństwie. Jesteśmy przeświadczeni, że wielkie manifestacje podkreślające wagę zadań produkcyjnych, stojących przed całym narodem, przyczyniają się poważnie do pogłębienia wśród katolików idei Porozumienia, a w całym społeczeństwie — zasadę zgodnego współżycia różnych światopoglądów.

Nowa fala integralizmu we Francji

REDAKCJA „Dziś i jutro“ o-mówiła już parokrotnie na swoich łamach problem integralizmu, jako jednej z niebezpiecznych tendencji we współczesnej kulturze katolickiej. Tym samym zagadnieniem zajęła się niedawno pół-urzędowy organ duchowieństwa katolickiego we Francji — „Centre d'information catholique“ — w tygodniowym komunikacie „Faits de la semaine“. Ocenę tę, zbliżoną z naszymi wnioskami drukujemy w nieznacznym skrócie:

Redakcja

RAMY

AZEBY umiejscowić integralizm, należy go ułokować w jego pierwotnych ramach, to znaczy w okresie trwającym od końca pontyfikatu Leona XIII do początku pontyfikatu Piusa XI.

Jest to epoka wrzenia religijnego, intelektualnego, socjalnego i politycznego, dla której charakterystyczny jest ogromny wysiłek Kościoła katolickiego dokonywany z inicjatywą takich przełożonych jak Leon XIII, a mający na celu poznanie elementów współczesnej rzeczywistości, opanowanie ich i przystosowanie się do nich w takim zakresie, w jakim było by to zgodne z żywą tradycją katolicyzmu. Jak zwykle, takie przystosowywanie pociągnęło nieuchronnie za sobą niepowodzenia, przejawskrawienia oraz rzeczywiste błędy.

Na płaszczyźnie teologicznej, filozoficznej i historycznej jednym z owych błędów jest modernizm, potępiony przez Piusa X encykliką „Pascendi“, a będący raczej zbliżeniem pewnych tendencji, niż doktrynalnym systemem, tendencją, które jednakże w ostatecznym rachunku zmierzają do jednego i tego samego wyniku: a mianowicie do zachowania tak zewnętrznej struktury Kościoła, jak i uczuć religijnych, które ona podtrzymuje, pozbawiając i jedno i drugie wszelkiej doktrynalnej treści. Wśród owego wrzenia i zamętu przybyła jeszcze jedna dodatkowa przyczyna zamieszania, a mianowicie integralizm, który, stosując te same metody, co pewni moderniści, wytworzył prawdziwe tajne stowarzyszenie.

„SAPINIÈRE“

INTEGRYŚCI“ utworzyli tajne „stowarzyszenie, „Towarzystwo św. Piusa V“, albo „Sodalitium Pium“ nazwane kryptonimem „Sapinière“). Stowarzyszenie to miało swoich adeptów lub korespondentów w całej Europie. Posiadało własne, szczególnie sposoby korespondowania, znaki rozpoznawcze i tajny szyfr, tak aby znany każdego niewtajemniczonego, który przypadkiem natrafiłby na jakiś zagubiony dokument.

Zgodnie ze zwykłą techniką właściwą tajnym stowarzyszeniom, „Sapinière“ tworzyła centralny ośrodek znany jedynie wyższym wtajemniczonym, wokół którego uszeregowane były inne grupy, jedne potajemne, inne po prostu nie rzucające się w oczy, jeszcze inne jawne i mające za zadanie służyć jako parawan dla tajnej akcji, lub wywierać wpływ na ludzi, którzy mieliby wstręt do działalności sekretnej.

KIEROWNIK

KIEROWNIKIEM „Sapinière“ był osobnik dosyć przeciętny; niejaki Mgr. Benigni, pozbawiony znaczenia prałat rzymski, pocer-nie trzymający się na uboczu, bę-

*) Lasek świerkowy.

dący profesorem historii w Kolegium Szlacheckim.

On to w cieniu naciskał sprężyny i zawiązywał intrygi. Ujawnienie jego osoby wywołało powszechne zdumienie.

Oficjalnie „Sapinière“ stawiała sobie za cel walkę o zachowanie wiary przeciwko współczesnym błędom, a w szczególności przeciw liberalizmowi, modernizmowi i socjalizmowi.

W istocie rzeczy ciosy swoje wymierzała ona tylko w jednym kierunku. Na przykład błędy „Action française“ nie tylko były dla niej obojętne, ale nawet, jak to dalej zobaczymy, popeknione zostały z jej współudziałem. W robocie tej stosowano zręczną i pewną taktykę. Polegała ona:

1) Na przedstawianiu danego człowieka czy ugrupowania jako zwolennika modernizmu albo liberalizmu, drogą przytaczania kilku zdań wyjętych z kontekstu i dowolnie zestawionych z innymi cytatami. Jeśli zachodziła po temu potrzeba, cytaty obcinało się, fałszowało, czy nawet zmyślało, a w każdym razie zawsze topiło w wypaczającym je komentarzu.

2) Na przedstawianiu ludzi czy ugrupowań jako zwolenników liberalizmu lub modernizmu, czy to dlatego, że utrzymywali oni przypadkowe stosunki z modernistami lub liberałami, czy też dlatego, że na jakimś punkcie zgodzili się — choćby zupełnie słusznie — z liberałami czy modernistami.

3) Na nieustrudzonym powtarzaniu tych oskarżeń i krytyk, na przekór wszelkim zaprzeczeniom, dopóki wywarłe wrażenie nie stało się już niezatarte.

4) Na mnożeniu owych oskarżeń w rozmaitych drobnych publikacjach, na skłanianiu gazet zaprzyjaźnionych, lub takich, w których redakcji posiadało się przyjaciół, do powtarzania ich — dopóki publiczność nie doznała wrażenia, że miała tu do czynienia z rozległym i zróżnicowanym ruchem opinii publicznej.

5) Na dołączaniu do tych publicznych oskarżeń denuncjacji anonimowych pod postacią ulotek drukowanych i powielanych lub listów prywatnych.

6) Na zarzucaniu władz kościelnych, kurii biskupich, nuncjatur czy Stolicy Apostolskiej tymi oskarżeniami, działając albo bezpośrednio, albo przez podstawione osoby.

Ostateczny cel owej akcji polegał bądź na uzyskaniu ze strony władz kościelnych potępienia, nagany czy przynajmniej zastrzeżeń w stosunku do osób lub ugrupowań w ten sposób oskarżanych, bądź też — w wypadku gdy taka akcja nie była możliwa — na zdyskredytowaniu danej osoby czy ugrupowania w oczach poważnego odiamu opinii publicznej.

INTEGRYZM I POLITYKA

LUDZIE z „Sapinière“ pod płaszczykiem walki z liberalizmem przeciwstawiali się w istocie rzeczy wszelkim ideałom wolności. Pod płaszczykiem walki z socjalizmem występowali oni przeciw wszelkiej doktrynie i wszelkiej inicjatywie postępu społecznego. Byli zaciekłymi przeciwnikami systemu demokratycznego. Nic więc dziwnego, że najostrzejsze strzały miotali w „chrześcijańskich demokratów“ i „katolików społecznych“ nawet najbardziej umiarkowanych i, powiedzmy to sobie o-twarcie, najniezgodliwszych.

Ruch integralistyczny opowiada się, można by rzec instynktownie, po stronie polityki reakcyjnej i autorytatywnej. Jest on a priori za przeszłością, przeciwko teraźniejszości; za władzą przeciwko

swobodzie. Drobiazgowi teolodzy integralizmu nigdy nie znaleźli słowa krytyki ani dla głęboko anty-chrześcijańskiej myśli Karola Maurras, ani dla najbardziej niezadowolonych powieści Leona Daudet, ani dla gwałtów i niesprawiedliwości polityki „Action Française“.

Kiedy za czasów pontyfikatu Piusa XI Kościół zmuszony był potępić „Action Française“, integraliści zachęcali ją do nieustępliwości. Doprowadzili nawet do buntu pewnych przywódców katolickich z „Action française“, których pierwszym odruchem było posłuszeństwo Kościołowi.

INTEGRYZM I HIERARCHIA KOŚCIELNA

KATOLICY integralni“ głosili „manifestacyjnie swe całkowite przywiązanie do hierarchii, a w szczególności do Ojca Świętego. Dla swoich przeciwników zaś mieli stale na ustach słowa o nieuległości, nieposłuszeństwie, a nawet o herezji i schizmie.

Postawa ta była jednak jedynie fasadą. Integralizm mnożył zapewne respektu i posłuszeństwa wobec episkopatu i Ojca Świętego w miarę jak decyzje owych władz zdawały się iść po linii jego polityki. Jeżeli tylko decyzje te odchyłały się od „właściwej drogi“, „katolicy integralni“ nie wahali się nie tylko przed nieposłuszeństwem, ale nawet przed prowadzeniem kampanii zastraszenia czy kalumnii przeciwko władzom kościelnym. Integralizm usiłował po-dejść hierarchię, aby ją nagać do swoich celów. Był jej posłuszny tylko o tyle, o ile ona wydawała się być posłuszna jemu.

OFICJALNY KONIEC

DLATEGO też, gdy tylko hierarchia powzięła wiadomość o istnieniu „Sapinière“ szybko położyła mu kres.

Nie mogła ona ścierpieć ani tego, żeby działano przeciwko jedynie odpowiedzialnym władzom kościelnym, czy żeby na działalność tych władz bez ich wiedzy wpływała zorganizowana i tajna koteria ludzi nieodpowiedzialnych — ani, żeby jacyś katolicy mieli czelność rezerwować sobie tytuł „katolików integralnych“, wówczas gdy ich stanowisko było wysoce wątpliwe, bowiem stanowiłoby to prawdziwą zniewagę dla innych katolików, na których mogło by paść podejrzenie, iż wyznają jakiś katolicyzm pomniejszony, splamiony liberalizmem czy modernizmem.

Toteż Benedykt XV zabronił określenia „katolicy integralni“, a Pius XI nakazał likwidację „Sapinière“y“.

DEFINICJA INTEGRYZMU

PO tym historycznym przypomnieniu, można teraz zdefiniować integralizm.

Mimo swoich roszczeń, nie pokrywa się on z postawą chrześcijańskiego nieprzejednania. Nieprzejednanymi byli, każdy na swój sposób, Ludwik Veillot, Leon Bloy i Bernanos. Czują się całą śmiesznością, jaka tkwiłaby w uznaniu ich za integralistów.

Integralizm nie jest doktryną, ale kierunkiem, stanem umysłu oraz metodą działania.

Kierunek ten charakteryzuje: wstręt do wszystkiego co nowe, do wszelkich innowacji i wszelkiej nowoczesności, utożsamianych a priori z modernizmem. Owa nieufność wobec tego, co nowe, jest powszechna; rozciąga się na teologię, politykę, życie społeczne, literaturę i sztukę.

Z tego punktu widzenia integralizm wydaje się być symetryczną odwrotnością modernizmu;

jedną skrajnością odpowiadającą drugiej.

— ustawiczne licytowanie się co do nieskazitelności i czystości doktrynalnej. Nikt nie znajduje łask u integralisty, oprócz innego integralisty.

To licytowanie się doprowadza albo do podawania za prawdy wiary też, które są jedynie pozycjami szkoły, albo do nadawania pozorów przynależności do istoty Kościoła instytucjom lub metodom myślowym, które wiążą się po prostu z rozwojem historycznym.

Koniec końców integralizm skasowałby w Kościele wszelką swobodę badań, wszelki wpływ chrześcijańskiej opinii na życie kościelne. Wytworzyłby martwość bliską śmierci.

— systematyczne dawanie pierwszeństwa rozwiązaniom autorytatywnym zarówno wewnątrz Kościoła, jak i w dziedzinie społecznej i politycznej.

Integralista to zwolennik autorytetu. Jako taki, przeciwstawia się nie tylko liberalizmowi doktrynalnemu, któremu przeciwstawiają się wszyscy katolicy, ale i praktycznemu stosowaniu konkretnych swobód. Przeciwstawia się też gwałtownie wszelkim próbom stworzenia demokracji w duchu chrześcijańskim i wykazuje skłonność do uzasadniania tego oporu racjami religijnymi, co wytwarza niedopuszczalne pomieszanie pojęć duchowych i doczesnych.

Stan umysłu integralisty charakteryzuje:

— podejrzliwość w stosunku do wszystkich tych, co nie podzielają tego samego punktu widzenia.

— łatwość wydawania śmiałych sądów, które atakują nie tylko fakty czy doktryny, ale jednostki oraz intencje.

— bezwzględność osądu, która posuwa się aż do pogardy i zniewagi, niemal zawsze uchybia miłosierdziu, często zaś sprawiedliwości.

— zamiłowanie do łączenia się w klikę, do działania okrojonego i tajnego, do obmowy, czy oszczerczej gadaniny, do delatorstwa i rzucania oskarżeń.

— i wreszcie nadmierna ufność we własny sąd, który rzekomo pokrywa się z osądem Kościoła; intelektualna pewność siebie, która często ma coś z umysłowej pychy.

KONSEKWENCJE INTEGRYZMU

KONSEKWENCJE integralizmu są zgubne.

Podtrzymuje on wewnątrz Kościoła atmosferę wzajemnej podejrzliwości, napastliwości, cierpkich

i jałowych polemik, nie mających nic wspólnego z bratnimi stosunkami, jakie między sobą powinni utrzymywać chrześcijanie.

Wprowadza „krótkie spięcia“ w działalność władz kościelnych, o-szukuje je, działa im na przekór i zmierza do tego, by im przeszkodzić w całkowicie swobodnym przyjmowaniu na siebie odpowiedzialności w tym zakresie, w jakim ona tym władzom wyłącznie przypada w udziale.

Przez swoje krytyki i polemiki zniechęca niezależnych i sumiennych badaczy, którzy na koniec tracą zaufanie we własne siły i szukają ucieczki w abstrakcji, lub też, odwrotnie, gorzknieją i tracą cenny czas na polemizowanie.

Niewierzącym, ludziom z zewnątrz, daje fałszywy obraz Kościoła, zdeformowany przez tendencje i stan umysłowy integralizmu. Powstrzymuje lub opóźnia akty nawrócenia; odstręcza wielu sympatyków.

CZY INTEGRYZM NADAL ISTNIEJE?

PEWNE jest, że integralizm istnieje nadal jako tendencja. Czy istnieje jeszcze jako tajne stowarzyszenie, przegrupowane i zreorganizowane, na to nie mamy dowodów. Przeróżne wtórne objawy skłaniają nas do przypuszczeń, że tak jest w istocie.

Są to:

— jednoczesność pewnych kampanii prowadzonych na płaszczyźnie międzynarodowej przeciwko takim zdeklarowanym katolikom jak Jacques Maritain, Etienne Gilson, Jean Guittton, Daniel-Rops itd.

— jednoczesność i zbieżność we Francji kampanii prowadzonych przeciwko dziennikarzom lub organizacjom katolickim, takim jak „Témoignage Chrétien“, „La Vie Catholique Illustrée“, „L'Union des Oeuvres“, a w szczególności w stosunku do księży robotników.

Czyż wreszcie nie ma się powodu do zaniepokojenia, jeżeli się widzi, że w literaturze o tendencjach integralistycznych wyspecjalizował się dom wydawniczy noszący nazwę „Editions du Cedre“ (drzewo iglaste nieprzyjemnie przywołujące na myśl świerk) i jeżeli się czyta w przeglądzie zazwyczaj poważnym, a mianowicie w „Pensée Catholique“, formalną pochwałę integralizmu i to mimo wydanego przez Benedykta XV zakazu używania określenia „katolików integralnych“?

Thum. B. Z.

Maria Barbara Hanaj

Dowroty

Może od śmierci cię ochronię
jak gałąz wiatru od potopu —
mającą choroby — drżą w agonii —
czają się cienie jak do skoku.

Może w mądrości wielkiej księdze
taki przedziwny znajdę rozdział
że się uśmiechnie ciepło mędrzec
i w zamian nie będzie żądał.

Może usłyszę głos twój z dala
i ptakom lata na odlotne
skrzydła jesienią pozapalam
I w śnieg obrosną. I odpoczniesz.

Może nauczę cię przebaczać
ażebysz ludzkim sprawom sprostał —
Bo nie na rozpacz ustałeś z placu!
przed nami drogi szmat i wiosna.

Michał JAWOR

Z dziejów feudalnych „staropruskich cnót”

NIERZADKO zdarza się nam czytać w dzisiejszych czasach o gnijącym kapitalizmie. Określenie to, jest trafne i dokładne — przeżyty, martwy ustroj zaczyna w istocie gnić... Feudalizm nie miał na ogół czasu po temu, został bowiem w większości krajów europejskich zmierzony przez rewolucję burżuazyjną. Tylko w jednym kraju utrzymał się nienaturalnie długo i zdążył przegnić do korzeni. Krajem tym były pruskie, bismarckowskie Niemcy.

Nie będziemy tu analizowali przyczyn, dla których burżuazja niemiecka przegrała rewolucję 1848 roku i uległa przemocy feudalnych dynastów. Nie będziemy także pisali dziejów rozwoju społecznego rycersko-kolonialnych Prus. Wystarczy stwierdzić, że w latach 1866 — 1871 podboju Niemiec dokonały Prusy wciąż jeszcze feudalne i rządzone na ogół absolutnie.

Podboju Niemiec — albowiem na polach bitew roku 1866 walczyły z Prusakami wojska nie tylko austriackie, ale i bawarskie, saskie, hannoverskie, wirtemburskie, badenckie, heskie. Prócz paru drobnych państw południowo-niemieckich całe Niemcy stawiły opór najazdowi i podbojowi pruskiemu i tylko wojskowa przewaga Prusaków, poświęcających od stuleci wszystkie siły państwa celom militarnym („wojna jest narodowym przemyśleniem Prus” — mawiał Mirabeau) rozstrzygnęła losy. Dobrze jest o tym pamiętać, że dopiero od roku 1871 datuje się podział Niemiec na „Niemcy” i „Austrię” — odkąd „Niemcami” zaczęto nazywać kraje niemieckie pozostające pod hegemonią pruską w nowo utworzonej „Rzeszy Niemieckiej” — i że dopiero od tego czasu datuje się ogólne spruszenie Niemiec, znajdujące swój szczytowy wyraz w hitleryzmie. Klasą rządzącą w tej nowej, bismarckowskiej Rzeszy stała się z natury rzeszy klasa rządząca Prus — feudalna kasta szlachecko-arystokratyczna, w pierwszym rzędzie junkrzy, to znaczy posiadacze ziemscy z ziemi na wschód od dolnej Łaby, obciążeni specjalnymi tradycjami rycersko-zabobnymi.

Szczególną cechą prusko-niemieckich feudalistów była ich ciasnota umysłowa i polityczna. Ubóstwo powstałe na nieurodzajnych piaskach Brandenburskiej i Prus Wschodnich nie pozwalało szlachcie pruskiej żyć w dostatku ani ocierać się w szerokim świecie — zwłaszcza, że i z ubogich środków jeszcze wielką część szła na potrzeby wojskowe, na nowe podboje.

Zabór okolicznych ziem niemieckich i nie-niemieckich, zapewnienie sobie bezpieczeństwa posiadania owoców grabieży bez potrzeby niustannego wiarołomnego lawirowania politycznego i wyczerpujących wojen — oto cały program pruskiej polityki. Szlachcie pruski, zasłużony dla państwa i króla, mógł spodziewać się tylko skromnych zaszczytów w nagrodę. Niebogatemu szlachcicowi lista nadań i nagród materialnych jakimi rozporządzał król pruski — zestawiona przez Fryderyka II, „wielkiego” w jednym z jego politycznych testamentów.

I oto nagle w roku 1871 ta uboga i po spartańsku żyjąca szlachta pruska znalazła się na ciele olbrzymiego i przepięknego państwa. Sam rozrost terytorialny nie byłby tu jeszcze wystarczający — Prusy stanowiły bowiem 2/3 ludności zamieszkującej terytorium Rzeszy. Ale zjednoczeniu Rzeszy towarzyszył złoty deszcz miliardów francuskiej kontrybucji wojennej i niebawomy rozwój gospodarczy Niemiec, przed którymi stanęły otworem rynki światowe.

Jednocześnie zaś już od połowy stulecia Niemcy są krajem importu żywności — i z każdym rokiem, w miarę żywiłowego wzrostu przemysłu, stają się nim coraz bardziej. Rosną ceny zboża i tym samym dochody z feudalnych majątków ziemskich.

Istnieje stare przysłowie polskie, że „chleb ma rogi”. Istnieje też bardziej dosadne powiedzenie rosyjskie o kimś, komu w głowie się przewraca od dostatku — „s ziru biesitsja”, dosłownie „wścieka się z tustości”. To właśnie stało się z feudalną kastą w pruskiej Niemczech — zawartość rogu obfitości, jaka wysypała się im na głowy, przewróciła im w tych „łowach” doszczętnie.

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet
Lubelski

Pruskiemu feudalowi dość się było teraz urodzić, ażeby mieć wszystko — zaszczyty, bogactwo, i władzę.

„Miał wszystko, czego potrzeba w Prusach, żeby zrobić karierę — pisze np. współczesny obserwator o pownym prezydencie policji Berlina. — Nie pochodził wprawdzie z bogatej rodziny, ale odbył swoją służbę wojskową w pierwszym pułku gwardii pieszej, kiedy sam cesarz tam właśnie służył, i był seniorem feudalnej korporacji studenckiej...”

Na miejsce owych nielicznych prebend i nadań, o jakich pisał Fryderyk II, przychodzi setki godności, urzędów i stanowisk, intratniejszych jedne od drugich. Potęga Rzeszy i jej przewaga na kontynencie zdaje się być utwierdzona na wieki, a wpływ polityczny feudałów większy już po prostu być nie może — minimum praw politycznych przynależnych społeczeństwu, nie daje się już okroić, ale jest to naprawdę niegroźne minimum.

Pruski feudal ma już wszystko — do niczego dążyć, o nie się już starać nie potrzebuje. Jego ciasny horyzont wypełniony jest złotem i purpurą po brzegi. Zostaje jedno — używać!

OZNAKI ROZKŁADU

TO samo, w jeszcze większym stopniu dotyczy nader licznych niemieckich dynastów. Zagrożeń w roku 1848 na swych tronach, znajdując się teraz pod bezpieczną osłoną pruskich bagnów. Tylko paru z nich, jak króla Hannoveru i księcia heskiego zmięli Prusacy z tronu, aby w ten sposób zaokrągli swe posiadłości. Przedstawiciele dwudziestu pozostałych dynastii — odsunięci od politycznych praw, odsunięci również od wszelkich politycznych trosk mieli zapewnione dostatki i łatwe życie. Jedni i drudzy używają przeto, ile się da. Społeczność feudalna zaczyna się rozkładać w zastraszającym tempie.

Najmniej charakterystycznym tego objawem jest może przepych, i rozrzutność, zjawiska zawsze towarzyszące uzyskaniu bez pracy, nadmiernemu bogactwu. Także i liczne skandale finansowe nie są szczególnie znamienne dla pruskich Niemiec, chociaż zwykle towarzyszą one nieodłącznie wzrostowi bogactw i chciwości klas niepracujących — przykładem choćby osławiona Panama we Francji. Powszechna gorączka spekulacyjna jaka ogarnia szlachtę i arystokrację prusko-niemiecką nie wiele różni się swym nasileniem od podobnych zjawisk w innych krajach.

Ale dla kasty rządzącej w pierwszym okresie pruskiej epoki niemieckich dziejów typowe i znamienne stają się dwa zjawiska: rozluźnienie obyczajów i niebawomy rozróżnienie intrygantów.

Ze wszystkich niezliczonych przykładów przytoczymy tylko jeden, drobny, ale najbardziej chyba jaskrawy i po prostu nieprawdopodobny. W czasie wielkiego kryzysu, wywołanego opublikowaniem przez „Daily Telegraph” nader nieopatrzonym wywiadem Wilhelma II, cesarz bawił w Donaueschingen u księcia von Fürstenberg. Ostatniego wieczoru szef gabinetu wojskowego cesarza, generał hrabia Hülsen-Haeseler, wystąpił — nie po raz pierwszy zresztą — jako baletnica. Po występie jednak dostał ataku serca i skonał. Trudno byłoby w ogóle w to uwierzyć, gdyby nie pisał o tym wypadku naczelnny świadek, marszałek dworu Wilhelma II „skromny protoduszny obserwator”, jak go nazywa wybitny historyk sowiecki, prof. Tarla.

Jednocześnie za świetnymi kulisami dworu prusko-niemieckiego toczy się nieubłagana walka wszystkich przeciw wszystkim o władzę, o wpływy, o stanowiska, zaszczyty i ordery.

Nad niemieckim ministerstwem spraw zagranicznych unosiła się — jak mawiał generał von Bülow, brat kanclerza — gęsta chmura intryg snutych tam od lat. Nikt nie był pewny, czy go lada dzień nie oczernią, nie poróżnią z kimś zupełnie mu obojętnym i nie narażą na utratę zajmowanego stanowiska czy wręcz dobrego imienia...

Nie współczucie, rzecz prosta, ale politowanie budzi tu Wilhelm II, osnuty pajęczą siecią podstępów, fałszów, zabiegów i potajemnych dążeń, nie zdający sobie z nich sprawy i popychany niejednokrotnie w kierunku, w którym wcale iść nie chciał. Także i opublikowanie owego wywiadu w „Daily Telegraph” było, jak się zdaje, zamierzoną intrygą kanclerza przeciw cesarzowi, celem „zamknięcia mu ust” — zbyt często zresztą, istotnie, otwartych. Kozłem ofiarnym uczyniono później jednego z niższych urzędników...

„Takie były zabawy, spory w one lata...”. Niechaj czytelnik nie sądzi, że opowiadamy mu po prostu sensacyjną historyjkę. Wszystko to przyczyniło się nie mało do późniejszych wydarzeń, kiedy od roku 1914 „reszta świata” — a także i same Niemcy — „we łzach i krwi tonęła”. Pamiętajmy, że ci rozhułani, goniący tylko za używaniem i rozrywkami ludzie — „potrzeba zabawy jest jedyną rzeczą nieprzemijającą w Berlinie”, zauważa współczesny obserwator — mieli w rękach losy państwa i narodu. Żyjąc zaś tak, jak żyli, przestawali wypełniać obowiązki swojego stanowiska i władza począła się wlaściwie wymykać im z rąk. Na to tylko czekały chciwe władzy i wpływów ośrodki burżuazyjne, przede wszystkim wielki kapitał finansowy i przemysłowy — szereg grup, koterii i sił tajemnych, pragnących choćby pośrednio zawiązać aparat państwowy i skierować politykę państwa na pożądane dla siebie tory. Poszczególni kapitaliści nie dążyli bowiem — do dalekich celów, lecz do bliskich interesów, i głębsze skutki tego działania przychodzą niezależnie od ich woli...

W GĄSZCZU INTRYG

ROZWIAZŁOŚĆ rządzących feudałów nie tylko przyczyniała się zresztą do zaniedbywania przez nich władzy, ale i stwarzała aż nadto wiele możliwości dla szantażystów. Szantaż też stał się — jak pisał współcześnie pewien komisarz berlińskiej policji kryminalnej — najmłodszym przestępstwem. Przyczyniała się do tego z jednej strony powszechna zamożność współczesnych klas posiadających, z drugiej — związana z tym zresztą przyczyną zewnętrzną, formalna surowość wiktoriańskich, zakłamanych obyczajów. Faktyczne zepsucie epoki było wielkie. — ale „zachowanie pozorów” niezbędne dla utrzymania pozycji towarzyskiej i społecznej.

We wszystkich też krajach kwitł szantaż, jako zyskowne przedsięwzięcie — ale w pruskich Niemczech rozkwitł poza tym szczególnie szantaż osobisto polityczny. Nie trudno było uzyskać środki nacisku na dygnitarzy państwowych i na samego cesarza nawet. Każdy z nich miał w życiu sprawy, których nie chciał widzieć na łamach chciwej sensacji prasy bulwarowej. Tym łatwiej było zadanie, kiedy chodziło jedynie o wyrwanie owym dostojnikom rzeczywistej władzy, którą i tak wykonywali niedbale — przy pozostawieniu im całego zewnętrznego blasku, zaszczytów i orderów.

W gąszczu intryg — przynajmniej w wielkiej części wypadków rzeczywistym motywem nie były tylko łaski cesarskie, stanowiska i zaszczyty, ale zupełnie realne interesy poszczególnych grup kapitału. Dostojnicy dworscy, kopiacy pod sobą dolki, mogli często nie wiedzieć wcale, czym interesem służy — dawali się popychać przeciw sobie, jak marionetki, z gotowymi, podsuniętymi im argumentami i motywami. Tylko nieliczni wtajemniczeni wiedzieli, o co będzie drażliwa gra. W wielu pamiętnikach, które pozostały z tej epoki, widąc wyraźnie, jak dalece sami aktorzy nie znali treści odgrywanego dramatu, który zakończył się mianem tragedii. Jedną z tragiczniejszych postaci jest tutaj na przykład bezsilny wobec tego klebowiska żniw kanclerz Bethmann-Hollweg, człowiek stosunkowo uczciwy, lecz staby i zupełnie bezradny, pozbawiony faktycznego wpływu i władzy, wykonywanej w rzeczywistości przez walczące zjadające ze sobą, ukryte za kulisami grupy. Osobiście mógł nie chcieć wojny — ale nie kanclerz i nie formalny rząd decydowały w Niemczech o wojnie i pokoju.

Tak doszło do tego, że przez lat dwadzieścia mógł faktycznie rządzić Niemcami — w interesie stojących za nim kół wielkiego kapitału — człowiek nikomu nieznanym, nie zajmujący żadnego wysokiego stanowiska. Posiadał bowiem astaty: z jednej strony olbrzymią pracowitość, świetną znajomość wszystkich tajemnic polityki Rzeszy od dziesiątków lat, niechęć do zewnętrznych oznak władzy i brak owej żądzy życia i używania — z drugiej, wielkie archiwum szantażu, skłutnie prowadzone „akta personalne” wszystkich ważniejszych osobistości aż do cesarza włącznie, oraz mistrzowski arsenał intryg. Były to oczywiście techniczne środki, nie zaś właściwe źródła władzy tego człowieka, za którym stał wielki kapitał.

Encyklopedie nie o nim nie mówią, ale z biegiem lat dla nauki historii staje się oczywiste, że najważniejszą osobistością „epoki wilhelmowskiej” był nie cesarz Wilhelm II, nie

żaden z jego kanclerzy, czy ministrów, lecz — ów nieznanym nikomu radca ministerstwa spraw zagranicznych, Fryderyk von Holstein.

Gnicie społeczeństwa feudalnego miało więc — obok ogólnych skutków moralnych — ten doniosły skutek polityczny, że otwierało drogę do władzy wielkiej burżuazji prusko-niemieckiej. Ta zaś nie była ani nasycona, ani tym bardziej przesycona — przeciwnie, miała olbrzymie apetyty. Zjednoczenie, a następnie skrzepnięcie Rzeszy przyszło za późno — i w końcu XIX wieku, kiedy Rzesza wkroczyła na szlaki „polityki światowej”, świat był już podzielony przez imperialistów innych narodów. Pozostawało walczyć zjadając o to, co można było jeszcze uzyskać — i gotować się do śmiertelnej walki o nowy podział świata.

Nie twierdzimy bynajmniej, rzecz oczywista, że zepsucie i moralne gnicie feudalizmu prusko-niemieckiego wywołało rozrost imperializmu i wzrost wpływów burżuazji w państwie. Złożyło się na to wiele powodów, zasadniczą zaś przyczyną leżała w ogólnych prawach dziejowego rozwoju. Imperializm był jako najwyższe stadium kapitalizmu, zjawiskiem nieuniknionym.

W każdym razie powszechna żądza używania, skrajne rozpróchnienie, rozkład moralny i wewnętrzne skłócenie warstwy feudalnej, sprawującej formalną władzę w państwie, przyczyniły się niewątpliwie do otwarcia drogi burżuazji.

A POTEŃ WYBUCHŁA WOJNA...

NIKT nie byłby w stanie uwierzyć, że korpus oficerski armii prusko-niemieckiej, złożony przede wszystkim z tych samych feudałów, rozpróchnionych i żądnych używania, bądź z równie przynajmniej przywykłych do dostatków synów bogatej burżuazji — zmienił się na tzw. „dzwięk surm bojowych” w falangę spartańskich wojowników. Oficerowie pruscy poszli w pole ciągnąc za sobą cały gąszcz grzechów i wad, bujnie rozrosły w czasie czterdziestu czterech lat istnienia bismarckowskiej Rzeszy.

Porównać-by ich można z rycerstwem jerozolimskim w „Królu Tredowatym” — tylko że tamci zachowali ponoć niekiedy męstwo swoich dziadów. Natomiast feudalny oficer pruski zasmakował już nadmiernie w życiu... Przywileje społeczne, majątkowe i wszelkie inne nazbyt weszły mu w krew.

Najwyższy przywilej — ochronę młodego życia — przynajmniej sobie feudałni sztabowcy bez zastrzeżeń. Siegnijmy po pierwszy lepszy dokument. W lipcu 1917 roku szef sztabu generalnego armii polowej pisał:

„Wciąż jeszcze powtarzają się zmiarki i skargi, że w wyższych sztabach i władzach administracyjnych stanowiska oficerów zaopatrzeniowych, kierowników transportów, komendantów kwater sztabowych, oficerów ordynansowych i pomocniczych itd. obsadzone są przez oficerów młodych, zdalnych do służby frontowej, przeważnie z kawalerii (a więc przede wszystkim feudałów pruskich — przyp. autora) podczas gdy oficerowie starsi, znoszący ciężkie warunki, muszą pełnić służbę w okopach...”

Tak jak w czasie pokoju bawiono się kosztami nędzy chłopca i robotnika, w czasie wojny czyni się to kosztem żołnierza, jakim stał się tenże chłopczy robotnik. Plac oficerów i żołd żołnierzy pozostają do siebie w stosunku tak krzywdzącym, iż zwraca to uwagę szerokiego kół opinii publicznej, nawet i nie lewicowej — ale bez skutków praktycznych. „Odpoczynek” żołnierza po walce i trudzie polega bądź na budowaniu eleganckich schronów czy wręcz willowych baraków oficerskich, lub też — na ćwiczeniu muzyki i salutowania, w zupełnie jasnym celu lepszego wpojenia owej wojskowo-socjalnej dyscypliny, która nigdzie nie występowała tak jaskrawo, jak w armii prusko-niemieckiej. Może tylko armia carska mogła tu służyć za porównania.

Oficerowie objadają po prostu żołnierza — i bezpośrednio, wyjadając wszystko co lepsze z kuchni żołnierskiej, i pośrednio, okradając go bądź dla przesyłania żywności swoim rodzinom w głodujących Niemczech, bądź dla spekulacji żywnością w celach zysku i kupowania sobie rozrywek.

Wreszcie intrygantwo z czasów pokoju przenosi się i do armii — tylko, że tu już zaczyna mieć skutki bardziej krwawe, niż w nielicznych stosunkowo pojedynkach. Świetny obraz tych stosunków — oparty zresztą wprost na dokumentach, zebranych po I wojnie światowej przez

komisję weimarskiego Reichstagu — daje druga część wielkiej serii Zweiga, tzw. „Cyklu Grisy” („Wielka wojna białych ludzi”) p.t. „Wychowanie pod Verdun”. Człowieka niewygodnego przed wojną kompromitowało się; teraz przynajmniej się go na niebezpieczny odcinek frontu. Historia biblijnego Dawida i Uriasza mnoży się w niezliczonych wariantach w armii prusko-niemieckiej.

Aby zaś teraz uzyskać order czy awans, nie wystarczy walczyć w łaski przelotnych. Trzeba zdobyć „wojenne sukcesy”. Więc bezpieczni za linią feudalni sztabowcy organizują zbędne wypadki i natarcia, krwawie niemieckiego żołnierza — ażeby stworzyć efektywną akcję bojową, za którą on, nieczem nie ryzykując, otrzymają lśniące nagrody. Bywa i tak, że danej akcji w ogóle uzasadnić nie można — nakazuje się ją jednak, a „o nadanie dziecku imienia zatroszczymy się później”, stwierdza cynicznie odnośny sztab.

Cierpliwosć głodzonego, poniewieranego i krwawionego żołnierza niemieckiego zdawała się bez granic. Nie w tym dziwnego. Z jednej strony była żelazna, pruska dyscyplina, przynosząca się z życia cywilnego do wojska — wiadomą było rzeczą, że w fabrykach i majątkach pruskich feudałów dba się pilnie o karność iście wojskową. Z drugiej strony kierownictwo socjaldemokracji niemieckiej zdradziło sprawę pokoju i sprawę proletariatu, i tylko garstka z Liebknechtem i Różą Luksemburg walczyła przeciw wojnie. Żołnierze niemiecki wierzyli, że broni napaędniętej rzekomo ojczyzny — i zasiał ziemię.

Ale wypadki rewolucyjne w Rosji wstrząsnęły i nim także...

„Najpierw pozwalają tysiącom umierać z głodu, a kiedy naród czuje się przez to skrzywdzony, wytaczają karabiny maszynowe, żeby strzelać do biednych głodujących kobiet — pisze nieznanym autor przejętego przez oficerską cenzurę listu. — Musi tak przyjść, jak w Rosji, żeby się uwolnić od przeklętego militarysty. Tam klasy posiadające nie mają już żadnych praw i u nas też to musi przyjść”.

„Rosja może się stać człowiekowi miłsza, niż własna ojczyzna!” — pisze inny żołnierz.

Mnoży się też ze strony zwolenników istniejącego ustroju przestrogi i wskazania na rozwój wypadków w rewolucyjnej Rosji. Obawą przed „zarażeniem rewolucją” wśród feudalno-kierownictwa państwa i armii prusko-niemieckiej ukazuje trzecia część serii powieściowej Zweiga — „Spró o sierżanta Griszę”.

Potem przyszła jednak rewolucja niemiecka — ale nie zdołała wstrząsnąć podstawami militarysty i owej militarno-socjalnej hierarchii. Druga wojna światowa przyniosła w znacznej mierze powtórzenie wszystkich tych zjawisk, z pewnym złagodzeniem zewnętrznych objawów wyższku żołnierza — hitlerowcy korzystali z doświadczeń — ale też i z tą różnicą, że nie tylko feudałowie, ale i lumpenproletariacki element SS-mańsko-gestapowski żył w dostatku kosztem żołnierza i ludności krajów okupowanych.

„POWRÓT DO CNÓT STAROPRUSKICH”

W pewnych ośrodkach w dzisiejszych zachodnich Niemczech głosi się „powrót do cnót staropruskich”, które rzekomo uległy zepsuciu w epoce burżuazyjnego kapitalizmu. W rzeczywistości owe „staropruskie cnoty” — karność, sumienność, obowiązkowość, rzetelność, oszczędność, wstrzeźliwość, ogólnie biorąc to, co nazywa się cnotami spartańskimi — były po prostu owocem ubogości i kierującego cały wysiłek na ekspansję militarną staropruskiego społeczeństwa. Wedle niemieckiego przysłowia czyniono tutaj z konieczności — cnotę. Zresztą owymi „cnotami” częstowało się od pewnego momentu — i chce się częstować nadal — już tylko klasy pracujące...

Hasło powrotu do tych „cnót”, wytworzonych w pewnych określonych warunkach społeczno-ekonomicznych, a zanikających szybko w warunkach odmiennych, i dziś już nie istniejących — stanowić ma jedynie pokrywę dla adenaucowskiej chęci powrotu na drogę pruskiego militarysty i pruskich grabieżcy; oznacza może tylko chęć przywrócenia po raz trzeci militarysty w formie owej wojskowo socjalnej hierarchii wyższku.

Tutaj wszakże będzie coś miał do powiedzenia nauczony doświadczeniem lud niemiecki oraz wszystkie ludy miłujące pokój i walczące w jego obronie.

Michał Jawor

Andrea TONCHU RU

»Topór z Wandsbek«

Gdy się wymawia słowo „topór“, to z pojęciem tym kojarzą się zazwyczaj dwa inne: urząd kata i zamierzchni epoką dziejów. Toporem niegdys kat odziany w purpurę, w masce na twarzy, ściana królewskie i nie tylko królewskie głowy, zmieniając często ta mechaniczna funkcja bieg historii. Słowo „topór“ przypomina nam również stare rycerskie ballady, gdzie fantazja tak ściśle łączy się z rzeczywistością, że nieraz trudno przeciągnąć między nimi dokładną granicę.

Jeśli spróbujemy analizować książkę Arnolda Zweiga (w świetle powyższych skojarzeń, to zobaczymy, że i tu występują one bardzo wyraźnie. Wiele przede wszystkim jest kat: wprawdzie nie zawodowy, ale który nie gorzej od zawodowego potrafi ścinać cztery niewinne głowy. Kat nie odziany w purpurę a bardziej nowoczesnie w frak, lecz również zakrywający twarz maską. Egzekucja zaś — choć nie zaraz i nie bezpośrednio — nie pozostaje jednak bez wpływu na bieg dziejów. Czasy, w których się rzecz dzieje, nie są zamierzchnie, lecz współczesne, natomiast, co dziwnejsze, właśnie w tych nowoczesnych czasach następuje splecenie wątku baśniowego z realnym życiem, a nawet widzimy próby połączenia światopoglądu materialistycznego ze sprzecznym mu punktem widzenia. Książka fascynuje i zastanawia. Jest jedną z najwybitniejszych pozycji powojennej literatury. Pisana z ogromnym talentem i dynamizmem stawia śmiało problemy do dziś nie rozwiązane lub rozwiązane połowicznie. O tych problemach chcę przede wszystkim mówić.

WSTĘCZNA FUGA KAPITALISTYCZNEGO PORZĄDKU ŚWIATA

BOHATEREM „Toporu z Wandsbek“ jest w wątku powieściowym rzeźnik Albert Teetjen, ale właściwa centralna osobowość, wokół której i za przyczyną której rozgrywa się wypadki powieści, — jest naród niemiecki.

Losy Niemiec od dawna spoczywają w rękach kłiki generałów i ekonomistów, chcących cofnąć koło historii przez uparte opowiadanie się przy przestarzałych wzorach ustrojowych. Sojusz przemysłowców i zdyscyplinowanej państwa silnym i zdyscyplinowanym, ale jednocześnie zabija w obywatelach samodzielną myśl i nie pozwala na zaprowadzenie sprawiedliwego ładu społecznego. Dobra nie są rozdzielane według potrzeb, obywateli państwa to uciemiężeni i ciemiężyciele. W interesie wielkich fabrykantów leży niedopuszczenie ogółu do sprawiedliwego uczestnictwa w dochodach. Apatety tej przodującej warstwy nigdy nie są zaspokojone. Sprzymierzona z nią, żadna walka i zaborów armia marzy o nowych podbojach.

W tych warunkach, jako nieuniknione następstwo istniejącego stanu rzeczy, zdajawia się Adolf Hitler.

DROGA W PRZEPAŚĆ

Trzeba powiedzieć jasno: milczący obserwatorzy niesłychanych w „Arnold Zweig: „Topór z Wandsbek“ powieści. Autorzowany przekład z niemieckiego Edyty Sicińskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Tom I, str. 530 + 280.

KSIĄŻKI

Teologiczne, beletrystyka, młodzieżowe

WYDAWNICTWA „PAX“

DEWOCIONALIA

Figury gipsowe, świece liturgiczne, łańcuszki, krzyżki, ryngrafy, wota, obrazki, korpusy Chrystusa, różańce.

SPRZĘT KOŚCIELNY

Lichtarze i krzyże ołtarzowe, dzwonki harmonijne, procesyjne, pojedyncze.

polecą;

„VERITAS“

Warszawa, Widok 5

Mokotowska 43

Białystok, Dąbrowskiego 1

Siedlce, gen. Świerczewskiego 20

Toruń, Rynek Staromiejski 17

Bydgoszcz, 1 Maj 54

Sopot, Prez. Bieruta 7 9

Gdynia, Świętojańska 46

Kraków, Sławkowska 20

Tarnów, Krakowska 39

Nowy Sącz, św. Ducha 3

Częstochowa, 7 Kamienic 27

Pabianice, Armii Czerwonej 27

Łódź, Piotrkowska 88

Wrocław, Katedralna 6

Poznań, Kantaka 10

CENTRALA I HURTOWNIA WARSZAWA ul. MOKOTOWSKA 43
zamówienia wykonujemy za zaliczeniem

działach wydarzeń ponoszą za nie odpowiedzialność obok wrzaskliwych zwolenników Führera. Nieliczne głosy sprzeciwu nie wywołują echa, a raczej przeciwnie, wywołują echo tragiczne: obrońcy wolności szybko zostają likwidowani.

„Naród ten nigdy nie chciał słuchać głosu, co go ostrzegał przed drogą, po której szedł za swoimi panującymi, winny i bez winy, drogą wiodącą w przepaść“ (t. II, str. 280). Przypomina to sami Niemcy, niestety, jakże nieliczni. Patrząc na politykę, prowadzącą bezpośrednio do wojny, Tom Barfey zwraca się do Stiny: „Czy ty masz pojęcie, ilu to zdrowych chłopaków będzie kosztowało? ... Same kaleki, ale naród nie zastąpił sobie na nic lepszego“ (t. II, str. 244).

Nagonka na Alfreda Teetjena jest zwałczaniem objawu, ale nie samej choroby. Nawet Käte Niemöller, która spowodowała prześladowanie Teetjena, zatrzymuje się potem w połowie drogi, widząc że nie doprowadzi ona do celu. Teetjen jest tylko biernym narzędziem, głupim, osaczonym człowiekiem, pozbawionym skrupułów moralnych, który za wszelką cenę pragnie uratować się z matni. Przez własną niezręczność wpędza się w sytuację bez wyjścia. Jest jak zaszczute zwierzę w tej dżungli, która według określenia emigranta dra Kleya przedstawiają ówczesne Niemcy.

DRAMAT TEETJENA — DRAMAT NIEMIEC

DRAMAT Teetjena jest nie tylko osobistym dramatem hamburskiego rzeźnika; to dramat całego mieszczaństwa niemieckiego, ślepego i głucheego na wszystko, co nie jest połączone z morderstwem i imperializmem.

W więzieniu hamburskim znajduje się pięciu komunistów, aresztowanych podczas rozruchów ulicznych. Są to ludzie zupełnie niewinni, którzy przypadkowo znaleźli się w tłumie. Jednak ludzie ci muszą zginąć, gdyż są symbolem protestu przeciw wstęcznemu ustrojowi, są zarodkiem niebezpieczeństwa, dynamitem, który kiedyś rozsądzi gmach zacofania i niesprawiedliwości. Więźniowie zostali więc skazani na karę śmierci. Zapowiedziany przyjazd Hitlera do Hamburga wpływa na przyspieszenie egzekucji, która uległa zwłoczce, wskutek choroby hamburskiego kata. Następują gorączkowe poszukiwania następcy. I wtedy rzeźnik Albert Teetjen, stojący z powodu błędnej polityki ekonomicznej państwa na skraju bankructwa zgadza się za dwa tysiące marek wykonać wyrok. Teetjen uważa ten sposób zarobkowania za równie dobry, jak każdy inny, nie nawiązuje przy tym komunistów, uważając ich za przyczynę wszelkiego zła.

Przypaganda nazistowska działa sprawnie: Teetjen ani przez chwilę nie myśli, że zgładzając skazanych, niszczy jednocześnie szansę ratunku — ratunku własnego i ratunku milionów Teetjenów, z których składa się naród niemiecki. Inocentno Teetjena, mimo maski, za którą ukrył się na placu egzekucyjnym, zostaje przypadkiem rozszyfrowane przez lekarzkę przyglądającą się każni. W nieprzemysłanym odruchu, działając pod

impulsem żywionej niegdys miłości do jednego ze skazańców, lekarzka ta staje się przyczyną zguby Teetjena, Milcząca zмова mieszczańców dzielnicy eliminuje Teetjena z grona współobywateli. Plotka zatacza coraz szersze kręgi. Jednocześnie władze partyjne po wyzyskaniu Teetjena, odrzucają go jak wyciśniętą cytrynę. 2000 marek wyczerpuje się szybko. Teetjenowie znów stoją u wrót nędzy. Teetjen cały czas nie zdaje sobie sprawy z własnego zakłamania i zaślepienia. Rozumie to natomiast Agnieszka Timme, żona jednego ze straconych. Ta kobieta, doświadczona okrutnie przez los, potrafi jednak zdobyć się na wyrozumiałość i sprawie dliwą ocenę. Gdy odwiedza Teetjenów, motywem jej wizyty jest zemsta: pragnie przywrócić się zabójcy swego męża, by potem opowiadać o nim dzieciom, pokazując im przy tym jego fotografię. Jednak po rozmowie z Teetjenami dostrzega prawdziwe oblicze Alberta — rozumie dramat jednostki i zwraca zabójcy fotografię. Nie będzie się mścić. Słyszając o zamierzonym wyjeździe Teetjenów do Hiszpanii, uważa ten wyjazd za chęć ekspiacji, pragnienie odrobienia zła. Zresztą jest w błędzie. Teetjen po wyjściu Agnieszki wyszydza tę jej naiwną wiarę. Jeszcze nie przedko zrozumie swój tragizm.

I dopiero, gdy po samobójstwie żony jedzie rano z jej ciałem, mijając śpiące hamburskie ogrody, by u kresu drogi samemu przecząc marne życie śmiercią z własnej ręki, — budzi się w nim refleksja: „...Gdy ktoś ryce, że chce wyciągnąć ojczyznę z matni, uczynić ją wielką, ja wrzeszczę: heil! i hurra! i podję pod jego sztandary. Ale gdy ktoś powie, że chciałby pomóc pracującym w uzyskaniu ich praw, krzyżuję przeciw! i wale, choćby nawet toporem. A przecież sam także należę do pracujących“ (t. II, str. 255).

Tak Teetjen ma wiele do odrobienia wobec pracujących, wobec całej klasy, wobec własnego narodu.

WIDMO TOPORA

WRÓCMY do sformułowanej na wstępie uwagi, że egzekucja dokonana przez Teetjena na pięciu członkach niemieckiej partii komunistycznej — wywiera jednak, choć nie natychmiastowy i nie bezpośredni, wpływ na losy narodu niemieckiego. Oczywiście pięciu skazańców, postaci fikcyjne, należy tu traktować jako symbol, jako uosobienie nielicznych głosów protestu przeciw złu. Protest ten za słaby i źle zorganizowany przed rokiem 1939, po doświadczeniach II-giej wojny światowej wzrasta na siłę i w konsekwencji doprowadza do powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która zrywa otwarcie z rządami generałów i przemysłowców i ustala życie kraju na zasadach sprawiedliwości społecznej. Ta republika nie chce wojny, lecz pragnie pracować twórczo i współżyć pokojowo z sąsiednimi narodami, łącząc się z nimi w pracy dla dobra ludzkości.

Ale NRD, to nie całe Niemcy, to tylko ich wschodnia część. Na zachodzie tego kraju w dalszym ciągu rządzi kapitalizm, odbudowuje się wielkie ośrodki przemysłu zbrojeniowego, a hitlerowscy generałowie, niedawni zbrodniarze wojenni, znów tworzą za borbą, żadną podbojów i mordów armie.

To wszystko dokonuje się w imieniu narodu niemieckiego. Miejscowa reakcja i protektorzy za Oceanu deklamują o tym narodzie i o jego rzekomych krzywdach, chcą wpędzić go znowu w klęskę i zniszczenie. Czy naród ten zdobędzie się na tyle siły i nie pozwoli, by go użyto za narzędzie zbrodniczych machinacji? Czy znowu zbroczony krwią topór z Wandsbek zagrozi światu? Czy głos sprzeciwu zamilknie bez echa, zdławiony przez brunatne widmo odradzającego się hitleryzmu? Czy historia tych ludzi nie nie nauczyła? Te pytania nurtują dziś wszystkich pragnących pokoju i postępu.

DWA ŚWIATY

„Topór z Wandsbek“ jest powieścią, w której irrealizm przepłata się stale z rzeczywistością. Zapowiedź tego znajdujemy od razu na pierwszych kartach książki. „Urząd kata był urzędem niesamowitym i uwłaczającym. Przez groby, które stwarzał, wyczuł się niejako z trzewiami ziemi, z tajemniczym dnem. W życiu codziennym zabijanie ludzi było sprawą drażliwą“ (t. I, str. 42). Od tej chwili, gdy rzeźnik Albert Teetjen odrąba toporem głowy ludzkie, w jego prozaiczne i trzeźwe życie wmszają się trudne do wytłumaczenia zdarzenia. Najpierw topór — obecność narzędzia zbrodni w domu wy-

wołuje w oboju Teetjenach dziwny niepokój. Wszystkie spotykające ich niepowodzenia łączą z tym przedmiotem, przypisując mu jakieś złowroogie działanie. W tym celu postanawiają usunąć go z mieszkania. Ale wszelkie próby pozbycia się topora zawodzą. Topór stale wraca do nich, zanim wreszcie trafi do muzeum więziennego. W czasie nieudanej próby pozostawienia topora na ementarzu Teetjenom ukazuje się pięciu świętych, trzymających odrąbane głowy na wysokości bioder. Nie dosyć na tym. Tę zjawę, choć widzianą przez dwie osoby równocześnie, można by jeszcze tłumaczyć podświadomymi wyrzutami sumienia, zdenerwowaniem i lękiem Teetjenów. Ale w chwili później ukazuje im się kolumna w marszu, która znika w stawie. Ta kolumna jest jakby zapowiedzią losu, który spotka zwolenników Hitlera. Po triumfalnej hałaśliwej defiladzie nagły upadek na samo dno...

Dziwne sny trapią Stinę, żonę Teetjena. Największe wrażenie robi sen na ementarzu, może przez kontrast z zewnętrznymi warunkami. Któregoś dnia, umęczona wędrowką i ciężkimi przejściami moralnymi, Stina zasypia, czekając na męża w słoneczny dzień na kwitnącym stokrotkami ementarzu hamburskim. Przez zieleń drzew przeświecają jasne domy miasta. Pejzaż technicznie spokojny i beztróski, która udziela się Stinie. Zasnęła wśród kwiatów i słońca. We śnie ukaże jej się zmarła babka i doradza popełnienie samobójstwa. Scena odda na nader plastycznie wywiera wielkie wrażenie nie tylko na Stinie, ale i na czytelnikach.

Motywy obcowania zmarłych z żywymi przewija się przez karty tej książki. Autor silnie akcentuje wspólnotę tych dwóch światów. Długo śmierć Stiny ma ścisły związek z interwencją jej zmarłej babki. Nawet Albert zdaje sobie sprawę z dalszego istnienia zmarłych. Stina mimo wielu tradycyjnych przyzwyczajzeń, w gruncie rzeczy jest wyzbytą istotą, przeżył religijnych. Pojęcie grzechu prawie dla niej nie istnieje. Nie przedzie jej również przez myśl, że odebranie sobie życia stoi w sprzeczności z zasadami religii. Problem śmierci sprowadza się u niej do naturalnego lęku przed nieświadomością i tęsknotą za spokojem i wybawieniem.

Zjawisko śmierci pasjonuje autora, który nie może się zgodzić, aby zniszczenie materii miało być końcem istnienia. Silnie odczuwa związek między światem niewidzialnym a rzeczywistością. Oba te światy pozostają u niego w ścisłym kontakcie.

Wytłumaczenia wydarzeń świata zewnętrznego Zwęig szuka w ich wewnętrznych nurcie. Okropności i brutalność życia wydają się nie mieścić w ramach normalnych, lecz domagają się tajemniczych wyjaśnień z poza sfery materialnej. Stąd ustawicznie ząbienie się tych zagadnień.

UWAGI O KSIĄŻCE

„Topór z Wandsbek“ jest jedną z rzadkich książek, gdzie założenia ideologiczne nie stanowią jakiejś sztucznej nadbudówki, przerstajającej nieraz zamiarami właściwe dzieło, ale łączą się harmonijnie z całością kształtem zagadnień. Autor przeżywa głęboko treść swego utworu. Widzi z ostrą wyrazistością zgrubne skutki reakcyjnej imperialistycznej polityki, widzi straszliwy zdziczenie i upodlenie ludzi. Przeraża go wygrywanie najniższych instynktów, całkowiata nieoś moralna nazistów. Ale wniosków swych nie formuluje w długich umotywowanych tyradach. U Zweiga spotykamy bardzo mało wypowiedzi pochodzących wprost od autora. Natomiast jego stanowisko jest bardzo wyraźnie określone przez działania postaci. Wszyscy ludzie, występujący w tej książce, to ludzie żywi, którzy nas oburzają i wrzeszczą, z którymi cierpimy i cieszymy się, którzy wywołują w nas całą skalę wrażeń. Losy tych ludzi nie są nam obojętne. I dlatego wniosków, których nie sposób nie wysnuć przy lekturze, przemawiają do nas tak przekonująco. Żywi ludzie są tym alfabetem, którym autor posługuje się dla wyrażenia swych myśli. I przekazuje je sugestywnie.

Autor potrafi paru słowami odmalować krajobraz czy nastrój. Nie cofając się przed obnażeniem całej grozy i brutalności życia umie zlagodzić tę grozę jakimś szczegółem (np. pęk róż rzucony na ciału Stiny). Przekład dobry, bez potknięć językowych i niejasności, wartko i swobodnie oddaje myśl autora.

Andrea Tonchu Ru.

SYLWETKI

I ZDARZENIA

Lelewel

Z ojca Polaka (niemieckiego pochodzenia — dziad, nadworny lekarz Augusta III pisał się Loelhoeffel von Loewensprung) i z matki Litewki (tak mawiało się w tamtych czasach) czy Białorusinki, z domu Szeluttówny, w typie swoim fizycznym i zwłaszcza psychicznym nie miał już nic z Niemca. „Krew polska, przy pomocy polskiego wychowania, zwyciężyła krew obcą“. Przypatrzcie mu się. Choć rane — 7 stycznia 1822 — jest mroczny, ciężkie bowiem chmury, brzemienne śniegiem, skąpo przesączają światło i pan Joachim tonie poza tym w gęstej ciżbie, pomatu posuwającej się w stronę sali wykładowej, Otto Słuzien, filomata, późniejszy ulan pod Dombińskim, machnie nam od ręki dosyć zgrabny jego konterfekt.

Lelewel wygląda na więcej, niż czwarty krzyżyk, którego zarwał ledwie połowę. Słusznego wzrostu, chudy, jak Don Kiszot i w ruchach nerwus. Na twarzy wypieki, rozlane aż na czoło — przesłoniczne wydają pod jasno-blond mgiełką wicherowatej czupryny. Nos duży, nieco zagięty. I oczy duże, wypukłe oczy tarczycznika, ongi modre, dzisiaj przypłowiały nieco. W blasku ich ukrywa się ciągłe zamyslenie.

Wokół tłum: obywatelska elita Wilna i studenteria, magnificencja rektor i dziekani, „palestranci, księża i piszczyki“. Z tysiąc chyba ludzi. Odkąd wileńska Universitas wileńską Universitas, żaden profesor nie pochwalil się tyłoma słuchaczami. Przeznaczona na wstępny wykład Lelewela sala numer 2 za ciśnie. Magnificencja każe otworzyć inną, obszerniejszą i tłum przesuwają powtórnie przez zimny dziedziniec uniwersytecki. Młodzież wyprzedza hurmą honoratorów i nowa sala nabita po brzegi, zanim „pośpiadły“ biety i tog. Możeby do sali posiedzeń Senatu? Zamknięta. Gdzie klucz? Zgnieciony w ciżbie pedel z trudem krztusi ze siebie, że zapomniał u ekonom-

Szczęściem, bibliotekarz Kontrym, utalentowany „projektenmacher“, proponuje odłożyć dziewiczy wykład profesorski Lelewela na pojutrze.

Na poniedziałek 9 stycznia 1822. Sala Senatu pełniutenka — szpilki byś nie wetknął. Dla odmiany, dzień pogodny. Niebo bez najmniejszego obłoczka i potok złota słonecznego ulewa się przez okno. Lelewel, który się garbi, gdy chodzi, garbi się również, gdy siedzi przed nami na szanownym miejscu rektora. Czyżby ciężył mu szkarłat, toga naukowa, strój królewski historii, narzucony na ramiona, które nie podolają brzemieniu polityki? W powietrzu brzmi jeszcze echo gromkich oklasków na jego powitanie. Nierad, skłonił się chłodno, odczekał chwilę i zaczyna wykład. Głos ciepły i przyjemny staccato oddziela słowo od słowa, myśl od myśli, prawdę od prawdy i wizję od wizji. W głuchej ciszy, wobec zaccarowanych, gasi Lelewel Śniadeckich i wszystko na świecie. Zapala do czynu anielską młodość i wywołuje na twarzach powagę patriotyzmu.

Jedna tylko twarz uśmiecha się na sali — ciemnobrewego, dwudziestoparolletniego marzyciela o wetero-ruskiej bladeści. Ach, przecież to Adam Mickiewicz! Przed niecałym miesiącem wyśpiewał wiersz „Do Joachima Lelewela“ i teraz uskrzydla nim wezbrany zapal przyszłego współtłacza!

Kali



10 ROKU ubiegłym na łamach polskich czasopism literackich pojawiło się kilkakrotnie znane dotychczas jedynie nielicznej grupie specjalistów nazwisko Sabahattina Alego. We „Wsi” (Nr. 28 (310), w „Nowej Kulturze” (48/88) oraz w „Zeszytach Wrocławskich” (Nr 1 51 r.) ukazały się tłumaczenia jego opowiadań wraz z krótkimi notatkami informacyjnymi o życiu i twórczości ich autora.

Zmarły tragicznie w czasie nicudnej ucieczki z więzienia Sabahattin Ali (1907—1948) należy do nielicznej grupy postępowych pisarzy tureckich, którzy swą działalność literacką pojmują jako walkę o reformy polityczne i społeczne w swym kraju. Głęboko demokra-

tyczne poglądy Sabahattina a nade wszystko jego nieugięta postawa w walce z reżimem kemalistów, której nie zachwiały ani kampanie oszczerstwo ani mury więzienia, stawiają go w rzędzie najdzielniejszych bojowników o postęp i wywyższenie mas ludu tureckiego z nędzy i ciemnoty.

Spuścizna literacka Sabahattina (przez pewien czas był on nauczycielem prowincjonalnym a od roku 1945 wydawcą i redaktorem antyrządowego pisma satyrycznego) obejmuje tomik poezji „Góry i wiatr” („Daglar ve Rüzgâr” 1935 r.), dwie główne powieści, które wywołały falę oburzenia ze strony ugrupowań reakcyjnych i kół rządowych: „Jusuf u Kujudżak” („Kuyucaklı Yusuf” 1937 r.) a zwłaszcza „Diabeł, który jest wśród nas” („İçimizdeki şeytan” 1940 r.) oraz kilka tomów opowiadań, które przede wszystkim zdecydowały o poczesnym miejscu Sabahattina w literaturze tureckiej. Najważniejsze z nich, to „Młyn” („Değirmen” 1935 r.), „Dwukółka” („Köğni” 1936 r.), „Głos” („Ses” 1937 r.) i „Nowy Świat” („Yeni Dünya” 1943 r.).

W realistycznych barwach maluje w nich Ali nędzę chłopów anatolijskich, współczuje biedzie, ukazuje wstrząsające obrazy krzywdy istot słabych: kobiet, dzieci, starców. Sabahattin poprzestaje z reguły na zasygnalizowaniu zła. Wyciągnięcie konsekwencji praktycznych, poszukiwanie środków zaradczych Sabahattin-pisarz zda się przerzucić na Sabahattina-działacza politycznego, reformatora i dziennikarza.

Nazim Hikmet — mając niewątpliwie na uwadze owe specyficzne cechy twórczości Sabahattina — nazwał go „prekursorem realizmu socjalistycznego w noweliście tureckiej”. Trudno nie zgodzić się z trafnością tego określenia.

W związku Radzieckim wiele opowiadań Sabahattina Alego zostało przetłumaczonych na język rosyjski („Asfaltowa droga” 1947 r., „Dochodny dom” 1951 r.). W Polsce tom jego opowiadań w przekładzie z oryginału przygotowuje do druku Spółdzielnia Wydawnicza „Oświatowa” „Czytelnik”. Edward Tryjarski.

MESZKAŁEM w Konfi w jednej z śmietników dzielnicy Küllükbaszy u pewnej Ormianki. W wynajętym pokoju pod nazwą „umeblowany” znajdowały się następujące sprzęty: czarne, żelazne łóżko, stary stół z szufladami oraz dwa składane krzeselka. Gdy zima zaczęła się już na dobre, inwentarz pokoju powiększył się jeszcze o mały piecyk.

Gospodyni moja była dobrą, pięćdziesięcioletnią kobietą; nosiła zawsze długą do samej ziemi, czarną spódnicę, a na ramionach stary szal z czarnej wełny, robiony na drutach. Mówiła mało, a wchodziła do pokoju zaraz po moim powrocie, tylko po to, żeby mi posłać łóżko oraz wieczorem, żeby napalić w piecu wtedy właśnie, gdy wycałatem wcześniej i chciałem trochę popracować.

Każdego dnia systematycznie kra- dła mi naftę z lampy i drzewo z piwnicy. Próbowaliśmy wmawiać we mnie, że lampa numer pięty, którą w ciągu wieczora paliłem nie dłużej niż godzinę, zużywa pół litra nafty w ciągu dwóch dni. Uważała też za rzecz zupełnie naturalną, że pół tony drzewa wyszło w ciągu dwóch miesięcy, wtedy gdy w piecyku paliło się tylko jeden wieczorem, i że w środku zimy muszę na nowo kupować opał za podwójną cenę.

Nigdy jednak nie protestowałem przeciw temu. W blaszance napełnionej do połowy wodą, którą mi co rano przynosiła do umycia twarzy, pływały — mimo moich stałych prób — włosy i żółta słomy. Nawet i to znosiłem. Może dlatego, że w życiu nie dla mnie nie było tak uciążliwe, jak zmiana miejsca zamieszkania. Choć lubiłem wszelkiego rodzaju wiozącą, przeprowadzka z jednego domu do drugiego była dla mnie zawsze przykrym przeżyciem i myśl o niej napełniała mnie lękiem. Nawet samo przeniesienie ułożonych w kącie pokoju książek napełniało mnie jakimś beznadziejnym zakłopotaniem. Byłem zbyt nieśmiały, by powiedzieć: „Proszę pani, jest mi w pani domu niewygodnie, przykro mi, ale muszę się wyprowadzić.” Czasem wieczorem, leżąc już w łóż-

ku i słuchając trzasku ognia w piecyku, zatapałem się w lekturze. W chwili, gdy zaczynało mnie ogarniać błogie uczucie wypoczynku, gospodyni pukała do drzwi i wchodziła do pokoju trzymając w jednej ręce ogromną szuflę, a grzbietem drugiej ręki pocierając wiecznie zaropiałe oczy.

— Jeżeli pan pozwoli, wezmę trochę ognia — mówiła i nie czekając nawet, aż kiwnę głową na znak zgody, otwierała piecyk, ładowała na łopatę wszystkie żarzące się węgle i zabierała je do siebie.

Jakże dziwnym stworzeniem jest człowiek! Zamiast w takim momencie wrzasnąć na nią, żeby zostawiła mnie nareszcie w spokoju, albo nawet wstać i poczęstować ją którymś z kawałków drzewa leżącego koło piecyka, aby w końcu położyć kres tej scenie powtarzającej się niezmiennie co wieczór o tej samej godzinie — w odpowiedzi na jej: „Niech Allah da odpoczynek!” twarz układała mi się w niewyraźny grymas nerwowego uśmiechu.

Pędziłem życie w sposób niewiarygodnie beznadziejny i nieproduktywny. Ramo siedziałem do pracy, obiad i kolację jadłem na kredyt w małej gospodzie i wieczorem wracałem wcześniej do domu. Zdawało się, że siedziałem do kawłarni i tam bezmyślnie oddawałem się kontemplacji grających w karty gości. Dziwnie jakoś otepliałem. Gazety mnie nie interesowały, rozmowy nie cieszyły, nie znajdowałem przyjemności w wypiciu kilku szklanek wina w dusznej winiarni ani w pustej paplaninie z któryś z kolegów. Czasem na ulicy spojrzę na moich młodych oczu zatrzymało się na jakiejś przystojnej kobiecie, a wyobrażenia drażniła mi nerwy i przypominała o istnieniu innego życia, posiadającego głębszy sens i barwę. Po książkach, które nie straciły dla mnie wartości, sięgałem teraz tylko z przyzwyczajenia, a także trochę ze wstydu przed samym sobą. Ale bez żadnego bólu stwierdziłem, że i z nich nie wynoszę tego żaru, który poruszyłby moją myśl, natchnął zapalem i pobudził do działania. Jakby życie składało się tylko z przetrze-

Sabahattin ALI

które obejmowałem wzrokiem, i chwil, w których żyłem, jakby w całym świecie nie było nic poza pełną kurzu lub złota drogą, która wiodła mnie do pracy, ścianami z cegieł i kilkoma serdecznymi kolegami, których słów nie pamiętałem już po upływie pół godziny.

W tym czasie pewne zdarzenie wyrwało mnie z tego duchowego letargu tak radykalnie, jak przeraźliwy krzyk budził człowieka zatopionego w głębokim śnie.

Co jakieś dwa, trzy tygodnie przychodziła do prania pewna kobieta. Sądząc z zewnętrznego wyglądu można ją było uważać za starą, w rzeczywistości jednak była dużo młodszą: mogła mieć najwyżej trzydziści lat, jednakże jej drobne, jakby skurczone i zeschnięte ciało, długie, cienkie i żółte ręce, podobne do nóg pajaka oraz głęboko zapadłe czarne oczy sprawiały, że robiła wrażenie starej kobiety, której lat nie można nawet złożyć. Nie miała ani jednego zęba, a jej wargi, jak cała zresztą dolną część twarzy, pokryte były gęstymi zmarszczkami. Wystające spod kawowego chafatu nozdrza podobne do dwóch patyków, ginęły w parze wielkich męskich butów z postrzępionymi sznurowadłami.

Znalazła mi ją gospodyni i odta- dła za dwadzieścia pięć kuruszy** owa kobieta prała stale moją bieliznę składającą się z kilku sztuk. Któregoś dnia wracając pod wieczór do domu zobaczyłem, że jeszcze nie skończyła swej pracy. Ponieważ było pochmurno, białizna wisiała na sznurach rozciągniętych w sieni. Wśród rozwieszonych sztuk zauważyłem kilka obcych: jakieś prześcieradła i damskie koszule. Dowiedziałem się od kobiety, że gospodyni kazała jej wyprać swoją bieliznę razem z moją. Z początku zrobiło to na mnie jakieś niesmaczne wrażenie i trochę mnie rozgniewało. Chciałem zawołać zaraz do pokoju biedną kobietę, którą z mego powodu spotkała krzywda, później jednak powiedziałem sobie:

— Jakoś przecieć musiały się umówić. Nikt jej chyba do tego nie zmuszał.

Wyciągnąłem z kieszeni dwadzieścia pięć kuruszy, po chwili wahania dorzuciłem do nich dziesięć i podałem kobiecie. Wszedłszy do pokoju zamknąłem za sobą drzwi.

Następnego dnia poprosiłem gospodynię, żeby mi coś więcej powiedziała o pracce. Moja litość dla „madame”, która nie wahała się kazać jej za darmo pracować całe góry bielizny, wyjaśniła ze łzami w oczach:

— Jest bardzo biedna, bardzo. Tu zaczęła opowiadać jakąś długą historię, z której w rezultacie nie dowiedziałem się nic poza tym, że pracca jest „bardzo biedna” i że chodzi w okolicy do prania. Jak żyje, jeśli ma zajęcie raz na cztery pięć dni i zarabla dwadzieścia, czy trzydzieści kuruszy? Czy ma kogoś z bliskich? Skąd pochodzi? Te i tym podobne myśli zaczęły mi się cisnąć do głowy.

W związku ze sprawą tej kobiety odczytałem we mnie na nowo zainteresowanie się ludźmi, które ostatnio zanikało. Przypomniałem sobie ostro zakończony i zawsze fioletowy z zimna nos pracckii, zgłębione jej ciało, pochylone od rana do nocy nad białą, i jej drżący, nikły głos, podobny do oddechu, wydobywający się spomiędzy pomarszczonych warg.

Kiedy w dwa dni później wracałem wieczorem do domu, natknąłem się na nią przed drzwiami. Nie zauważyłem jej od razu, ponieważ z powodu zimna miałem

podniesiony kołnierz, a okulary zaszyły mi mgłą. Dopiero gdy wkładałem klucz do zamku, dostrzegłem skuloną na progu kobietę.

— Co to znaczy? Czego tu szukacie?

— Nic.. nic.. — odpowiedziała przerywanym głosem bardzo szybko jak człowiek, który z trudem łapie oddech po kilkugodzinnym biegu.

Po chwili wyjaśniła mruknawszy jakby z niezadowolaniem:

— Chodziłam po całej dzielnicy. Myślałam, że może ktoś przyjmie mnie do pracy...

W wyrazie jej twarzy widoczny był niepokój, którego nie potrafiła ukryć, a w głosie czuło się drżenie, które za chwilę mogło zamienić się w płacz. Kilka razy otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, po chwili jednak znów je zamykała.

— Gdzie mieszkacie? — spytałem.

— Po tamtej stronie, w dzielnicy arabskiej — powiedziała wskazując kierunek brodą.

— Macie kogoś z bliskich? —

Na chwilę skuliła się, kilka razy zamrugła oczami i patrząc przed siebie, powiedziała:

— Mam dziewczynkę... w domu... ciągle leży...

— Chora?

— No tak... chora... bardzo chora...

Marzy mi nogi, stałem bowiem w zamrażającej przed drzwiami kałuży, a czy bolały mnie od wiatru, który dął z ulicy niosąc brudny śnieg. Chłód miał za chwilę zwyciężyć moją ciekawość.

— Ile ma lat — spytałem i przekreśliłem klucz. Drzwi lekko się uchylły. Kobieta uniosła głowę, jakby znów chciała coś prędko powiedzieć, po czym wróciła do dawnej pozycji.

— Ma około dziesięciu lat — odpowiedziała.



Sądząc, że musiała mieć jakiś cel w czekaniu pod moimi drzwiami o tej godzinie. Jednakże było mi trudno stać z nią dłużej na zimnie i prosić ją, aby mi ten cel wyjaśniła.

Poczułem w sercu jakieś skomplikowane, gniotące uczucie, którego nie potrafiłem sobie wyjaśnić. Podświadomie zdawałem sobie sprawę, że to, co ona powie, nie będzie dla mnie zbyt miłe, a może nawet wywoła we mnie wstyd. W moim otepleniu bałem się naruszenia równowagi i spokoju, czułem się w niebezpieczeństwie rozbięcia tej skorupy apatii i lenistwa, która przykrywała moje człowieczeństwo. Jakaś potężna siła egoizmu ciągnęła mnie do mieszkania. Ponieważ zatraciłem dawniej praktykowany zwyczaj opierania się jej, otworzyłem drzwi i wszedłem do sieni. Moja ucieczka nie zdiwiała biednej kobiety, gdyż podobne traktowanie spotykało ją niejedno-

MOJA

krotnie. Na twarzy jej pojawił się tylko wyraz nieopisanego rozpaczli. Zdawało się, że cała drży ze strachu. Jej cień, padający w ulicznym mroku, drżał wraz z zamglonym światłem elektrycznej lampki, palącej się w kącie.

— Proszę pana... proszę pana, czy nie ma czasem bielizny do prania?

— szepnęła ledwo dosłyszalnym głosem.

— Nie ma! — odpowiedziałem.

O niczym innym w tej chwili nie myślałem, jak tylko o tym, żeby uciec, żeby wejść do pokoju, i może właśnie dlatego nie zwróciwszy większej uwagi na zapytanie pracckii odpowiedziałem „nie”. Kobieta odwróciła się i poszła, ja zaś zamykając drzwi bezmyślnie krzyknąłem:

— Matko, zajdźcie jutro... Może jest jakaś koszula... Jakby coś było, to wypierzeć!...

— Dobrze... dobrze... — odpowiedziała tym samym cichym głosem, nie odwracając nawet głowy, ja zaś przeskoczywszy kilka schodków wszedłem do swego pokoju. Usiadłem na łóżku i zakryłem twarz rękami. Myśli zalewały mi głowę jak powódź.

Ta nieszczęśliwa kobieta przyszła, bo chciała mi coś powiedzieć. Może kilka godzin czekała na strasznym mrozie. Spytała, czy mam bieliznę do prania, chociaż wyprła mi ją zaledwie dwa dni temu. Miała wyraźny cel, ja zaś — jak ostatni głupiec — nie rozumiałem nic i w ten sposób doprowadziłem ją do tego że będzie musiała po prostu obrać. Inaczej mówiąc świadomie nie chciałem nic zrozumieć. W obawie się utracę własny spokój, skryłem się w pancerz pozornej nieświadomości. Odtąd wstydziałem się sam siebie. Wstawałem kilka razy z miejsca. Chciałem podejść do lustro i napluć sobie w twarz, ale nie potrafiłem zdobyć się nawet na tyle odwagi. Mówiłem sobie:

— Cóż mogłem zrobić? Czy byłem w stanie w czym jej pomóc? Kimże jestem? — ale natychmiast sam sobie odpowiadałem:

— Jakkolwiek by się sprawa miała, nie powinieneś być uciekać... Ostatecznie powinieneś być jej wysłuchać... Żebyś był nie wiadomo kim. Nawet człowiek, który nie ma, może jakoś pomóc innym ludziom, bodaj dobrym słowem...

Myśli te przez całą noc nie dawały mi spokoju. Zastanawiałem się nad swoją beznadziejnością, większą chyba od beznadziejności kobiety czy dziecka. W jednej chwili dusząca mnie od kilku miesięcy, beznadziejna apatia zginęła, jakby wymieciona miotłą. Stałem się znów jak inni ludzie, czuły na ból. Stałem się człowiekiem podlegającym uczuciom litości, beznadziejności i strachu. Przewracałem się na łóżku w zimnym pokoju i usnąłem dopiero nad ranem...

W dwa dni po tym zdarzeniu powiedziałem gospodyni, żeby kazała przynieść pracckie.

— Żeby tylko nie odeszła nie zobaczywszy się ze mną! — dodałem.

Kilka sztuk bielizny rzuciłem w kąt za drzwiami.

— A ileż to dni upłynęło, że już... — chciała zapytać, ale przerwałem jej w pół słowa:

— Koniecznie, koniecznie...

Wieczorem, zaraz po skończeniu pracy, wróciłem do domu. Gospodyni oznajmiła z uśmiechem:

— Praccka nie przyszła, proszę pana!

Może źle zrozumiała, kiedy ma przyjść... Może trafiła jej się praca gdzie indziej?

— Na pewno przyjdzie! — mruknąłem.

Jednakże odczuwałem jakiś nieczym nie uzasadniony niepokój.

PRACZKA*)

tłum. Edward TRYJARSKI

Czekałem na praczkę z niecierpliwością, czekałem, by zrzucić z duży ciężar, by dać biedaczce za doświadczenie za ów wieczór, kiedy odprawiłem ją sprzed moich drzwi z pustymi rękoma. Ale następnego dnia również nie przyszła. Wówczas powziąłem postanowienie: „Pójdę i odszukam ją!”

Gospodyni nie znała adresu.

— Chłopak w sklepiku, gdzie kupujemy naftę, jest jej sąsiadem; mieszka w tej samej dzielnicy. Kłedy mamy do niej interes, zawiadamia ją.

Odnalazłem chłopca, kazałem sobie opisać dom, a następnie przechodząc przez rynek pożyczylem w kawiarni od jednego z przyjaciół dwa funty i ruszyłem w kierunku dzielnicy arabskiej.

Do zmierzchu brakowało jeszcze jakieś pół godziny. Minawszy wysokie mury ogrodów, ciągnące się po obu stronach wąskich, zakurzonych ulic, znalazłem się na skraju miasta. Dzielnica arabska wzięła swój początek od kilku nędznych domków, niewiele wyższych od człowieka. Wieś ta została założona przez osiadłych w Konił żołnierzy Ibrahima Paszy***. Po połączeniu z miastem stała się dzielnicą zamieszkałą przez największą biedotę. W małych uliczkach, stojących otworem dla wiatrów stepowych mroźne poddmuchy kłębiąc się mieszały tumany kurzu z grudkami zlodowaciałego śniegu i gnały je gdzieś pod niebiosa.

Mimo ciepłego palta i wełnanej bleźniny trząsałem się z zimna. W otulonych mrokiem uliczkach nie było nikogo. Od czasu do czasu tylko w poprzek uliczki przebiegał jakiś wychudły pies, szukając zacisznej kryjówki.

Chłopak, kiedy go spytałem o dom praczkę, wskazał adres jakiegoś kupca, który miał w pobliżu sklepik, i dodał jeszcze:

— Niech pan go zapyta, on powie!

Z jednego z domów przez na wpół przymknięte okiennice wydostawało się trochę światła. Podszedłszy bliżej zobaczyłem za szklaną gablottką krząkły kielbasy, dwa kawałki mydła i siołek z cukierkami. Wewnątrz jakiś mężczyzna z siwą rzadką brodą próbował rozniecić ogień w blaszanym mangale****. Gdy pchnął drzwi i wszedłem do środka, podniósł ze zdziwieniem głowę i spojrzął mi w twarz. Zdawało się, że w sklepie nie ma nic więcej prócz tych przedmiotów, które widziałem w gablocie. Stojąca z boku blaszanka od nafty z kranikiem i kilka miarek były suche i zakurzone.

— Czego chcesz? — zapytał mnie cierpliwym głosem.

Spytałem o dom praczkę. Opisał mi go w kilku słowach nie wstając z miejsca.

— Chcesz dać coś do prania? Czy może coś ci ukradła? — spytał tym samym burkliwym tonem.

— Nie, ale miała przyjść do prania i nie przyszła; zaniepokoiło mnie to — wyjaśniłem.

Wzruszył ramionami z niedowierzającym wyrazem twarzy.

— Jakoś jej się teraz tutaj nie widuje — powiedział, i dodał tak, jakby mówił do siebie:

— Właściwie w tej dzielnicy jeden drugiego rzadko spotyka.

Wyszedłszy ze sklepu udałem się do domu stojącego po drugiej stronie ulicy i zacząłem walić pięścią w drzwi. Nikt nie otwierał. Poce-

kałem chwilę. Na dworze zrobiło się zupełnie ciemno, nad horyzontem zaczął się wznosić cieniutki sierp księżyc. Podszedłem do małego okienka i zajrzałem do środka: nic nie było widać. Stuknąłem palcem w niewielką, kwadratową szybę. Wewnątrz ktoś się poruszył. Znowu zwróciłem do drzwi. Po chwili dało się słyszeć stapanie bosych nóg po kamieniach i małe drzwiczki lekko się uchylły. Nikłe światło księżycy padało na stojącą w drzwiach kobietę i oświetliło połowę jej twarzy.



Zadrżałem. Nieruchoma twarz, którą przed sobą ujrzałem, nie różniła się prawie od twarzy zmarłego. Oczy zupełnie zginęły w gębli oczodołów, wargi dokoła bezębnych ust stały się jeszcze węższe i bardziej pomarszczone. W jednej chwili przyszło mi przez myśl, by wcisnąć kobiecie do ręki dwa funty i uciekać... Uciekać tak, jak się zawsze od wszystkiego ucieka... Uciekać przed patrzeniem, czuciem i związaniem z tym bólem.

Równocześnie poczułem wewnętrzny bunt przeciw takiemu rozwiązaniu sprawy.

— Dlaczegoście nie przyszli? Nie pokoiłem się! Jak tam dziecko? — spytałem, zwracając się do kobiety.

Kobieta drżała z zimna, a może jeszcze i z innej przyczyny. Stała bosymi nogami na kamieniach, na których mnie, mimo ciągłego poruszania marzący w butach palce u nóg. Kilka razy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale dygoczące szczęki znowu się zwierzały.

— Marzniecie tutaj, wejdźmy do środka — powiedziałem.

Poszła przede mną. Minawszy wybrukowane kamieniami podwórko szerokości zaledwie kilku kroków, weszliśmy w drzwi na lewo.

Przez okno, do którego przed chwilą stukaliśmy, wpadało blade światło, oświetlając nieco dalsze kąty pokoju.

Zamknąłem za sobą drzwi. Przez chwilę czekaliśmy oboje bez ruchu. Gdy wzrok mi przywykł do ciemności, zobaczyłem z jednej strony izby coś, co swym kształtem przypominało łożko. Można było rozróżnić spiętrzoną, poszarpaną koldrę.

Znowu spytałem cicho, jakby mi się bał swym głosem obudzić chore dziecko:

— Jak mała?

Stojąca przede mną kobieta, również po cichu odpowiedziała jakby z błaganem:

— Nie gniewajcie się... nie mogłam przyjść... Tak bardzo płakała. Właściwie placze już od kilku miesięcy, ale tym razem tak jakoś inaczej. Nie tak jak przedtem z głodu, tylko z zimna. „Mamusiu, jest mi bardzo zimno!” — mówiła. Mała nie oszalała, kiedy tak wo-

łała. A skąd miałam wziąć pieniądze na kilogram drzewa? Raz na tydzień chodziłam do prania, albo do sprzątnięcia i dostawałam dwadzieścia pięć kuruszy. Choć serce mi się ścisnęło, musiałam wydać je na tłuszcz i ryż, aby zrobić gorącą polewkę. Skąd miałam wziąć pieniądze na drzewo?

Głos jej znowu zaczął drzeć, nie mogłem rozróżnić czy z zimna, czy z jakiejś innej przyczyny. „Zużłem, że z oczu, których nie mogłem dojrzeć, spływały jej na policzki łzy.

— Ale od tygodnia już i polewki nie mogła przelknąć — mówiła dalej. — Latałam jak błędna, gdy słyszałam jej głos: „Mamusiu, marznę!” Zebrałam trochę drobnych gałęzi i rozpalłam w piecu: zabiły, zgasły, a nawet oczy mojej dziewczynki się nie

— Ale od tygodnia już i polewki nie mogła przelknąć — mówiła dalej. — Latałam jak błędna, gdy słyszałam jej głos: „Mamusiu, marznę!” Zebrałam trochę drobnych gałęzi i rozpalłam w piecu: zabiły, zgasły, a nawet oczy mojej dziewczynki się nie

— Ale od tygodnia już i polewki nie mogła przelknąć — mówiła dalej. — Latałam jak błędna, gdy słyszałam jej głos: „Mamusiu, marznę!” Zebrałam trochę drobnych gałęzi i rozpalłam w piecu: zabiły, zgasły, a nawet oczy mojej dziewczynki się nie

SPRAWOZDANIE z interesującej — i co ważniejsze bardzo potrzebnej — książki Józefa Grycyza*) można rozpocząć cytatem ostatniego jej zdania: „Każdy... człowiek, nieobojętny dla spraw kultury powinien interesować się tak ważnym i tak rozpowszechnionym jej czynnikiem, jakim jest książka. Powinien też znać jej dzieje i technikę”. Tym właśnie zagadnieniem poświęcona jest praca Grycyza, mówiąca o książce jako o obiekcie materialnym, przedstawiająca w przekroju historycznym wszelkie elementy składające się na jej wytworzenie i rozprowadzanie.

W myśl źródeł autora, praca jego miała być „praktycznym kompendium zawierającym usystematyzowany zbiór encyklopedycznie ujętych informacji z tego zakresu”. Należy stwierdzić, że autor cel swój osiągnął. Józef Grycz zaznacza z naciskiem, że książka jego nie jest podręcznikiem, i że czytelnicy pragmatycznej sprawy te poznać bliżej mogą uzupełnić swe wiadomości korzystając z zamieszczonych na jej końcu spisów odpowiedniej literatury. Niemniej trzeba stwierdzić, że nie byłoby dotychczas w literaturze fachowej opracowania powyższych zagadnień w sposób tak wszechstronny a zarazem treściwy — i popularny — jak jest to zrobione w omawianej pracy. Nie tylko fachowiec bibliotekarz, nie tylko człowiek pracujący zawodowo na polu wydawniczym, ale każdy kulturalny czytelnik, interesujący się problemami związanymi z wytworzeniem książki znajdzie tu dla siebie moc cennych informacji; wiadomości niekiedy frapujących i niespodziewanych. Autor ponadto szczególnie wyodrębnił całokształt zagadnień dotyczących Polski, dając w ten sposób czytelnikowi szereg nadzwyczaj interesujących wiadomości o rozwoju polskiego drukarstwa, ilustracji i inroligatystwa, uzupełniając ten historyczny obraz stanem aktualnym, i pozwalając tym samym na wytworzenie sobie przez czytelnika ogólnego pojęcia o rozwoju tych zagadnień w naszym kraju.

Praca Grycyza podzielona jest zasadniczo na 5 rozdziałów traktujących kolejno o książce rękopiśmiennej, o ilustracji i zdobnicztwie książki, o jej oprowadzeniu o wytworzeniu i rozprowadzeniu książek. W rozdziale pierwszym autor zapoznaje czytelnika z historią i rozwojem pisma, z materiałami i narzędziami pisarskimi oraz z rozwojem zewnętrznej postaci książki. Dużo ciekawych wiadomości zyska czytelnik studiując ustęp poświęcony kształtowaniu się i rozwojowi alfabetu w poszczególnych krajach w okresie średniowiecza. W rozdziale drugim, poświęconym książce drukowanej, zajmuje się autor rozwojem techniki druku rozpoczynając od jego wynalazców, a kończąc na wiadomościach technicznych związanych z dzisiejszym stanem druku. Chronologiczne przedstawienie rozwoju drukarstwa w poszczególnych krajach pozwala na zaznajomienie się, jak wynalazek Jana Gutenberga z Magoncji, którego prawdziwe nazwisko brzmiało zresztą Gensfleisch, szybko przybijał się na całym świecie. Dowiadujemy się wielu ciekawych szczegółów o inkunabułach oraz o inkunabulistyce, stanowiącej osobną gałąź księgoznawstwa, zajmującą się badaniem inkunabułów głównie od strony typograficznej i bibliograficznej.

ogrzały „Żeby tak choć zdobyła pieniądze na jakie pięć czy dziesięć okna**** drzewa” — mówiłam sobie i biegłam na wszystkie strony, ale widać nawet i Allah odebrał nam prawo do życia, bo nikt drzwi nie otworzył. Gdy wróciłam do domu, dziecko ciągle krzyczało: „Mamo, gdzie tak długo siedziałas? Cała ręka mi zmarzła aż do ramienia, a teraz zimno podchodzi do serca”. Teraz już nawet jej głosu nie było słychać, piszczała jak mały kociak. Położyłam się koło niej. Nie miałam nikogo na świecie, kto by mi ulżył i dopomógł, na nikogo nie mogłam liczyć. Objęłam moją córeczkę rękami i nogami i nie odeszłam już od niej. Moja mała było cała zimna jak lód. „Och, mamo, jeszcze mnie mocniej uściśnij, bo jakoś wszystko w środku mi się kurczy” — błagała. Nie wiedziałam, gdzie ją mam wprawę rozgrzewać, bo cała aż zeszywniała z zimna. Nagle przestała mówić. Zdawało mi się, że śpi. Później kilka razy budziła się i mówiła: „Mamo, ogrzej...” i znowu zasypiała. Nie chciała jeść ani pić. Usypiała i gdy się budziła, prosiła, żeby ją ogrzać. Jak i czym miałam ją ogrzać, kiedy sama byłam chuda jak szkielet i prawie bez życia? Tymczasem córka się uspokoiła. Nie mogę sobie przypomnieć, czy leżałyśmy tak przytulone do siebie trzy czy cztery dni. Kiedy otwierała oczy, brałam ją w objęcia. Głównie jej przyciskałam do piersi, nóżki brałam między swoje nogi i znowu usypiała. Dziś koło południa zdawało mi się, że znowu otwiera oczy. Tak jakoś dziwnie spoglądała mi w twarz... I już więcej oczu nie zamknęła.

Kobieta przykucnęła na podłodze tam, gdzie stała. Na pół klęcząc na środku pokoju kiwała się

teraz! szlochała ledwo dosłyszalnym głosem.

— Co tu mówisz... Allah nie dał jej więcej cierpieć. Nie wiem, po co mnie każe... Co ja teraz pocznę?... Do kogo się udam? Kogo poproszę o radę?... O, córeczko moja, córeczko?...!

Byłem bliski obłędu. Czulem szum, głowa mi pękała od przejmującego bólu. Cniciałem ściągnąć spiętrzoną na brzegu łożka koldrę, wziąć w ramiona leżące dziecko i ucałować; chciałem objąć za szyję klęczącą przede mną kobietę i plakać razem z nią.

Po chwili spróbowałem zebrać myśli. Wciążącym w krtani głosem powiedziałem:

— Poczekajcie tutaj, dam znać komu potrzeba i znowu przyjdę.

Wybiegłem przed dom. Wytyżając wszystkie siły pędziłem uliczką mi na pół oświetloną blaskiem księżycy, który teraz wyżej już trochę stał na niebie. Łzy płynące mi z oczu mieszały się z niesionym przez wiatr kurzem tworząc zamrażające na mych policzkach błoto. Miałem ochotę złapać za kołnierza każdego napotkanego człowieka i zaprowadzić go t a m. Z nieznośnym w sercu bólem biegłem ku śródmieściu, które w tej porze gotowało się do nocnego spoczynku.

* — opowiadanie wyjęte z tomu noweli Sabahatuna Alego przygotowanego do druku przez Spółdzielnię Wydawniczo-Oświatową „Czytelnik”.

** — drobna moneta turecka równa 1/100 funta.

*** — 1799 — 1848 wielokról Egiptu, wóz armii egipskiej, na czele której ruszył przeciw Turkom chcąc odebrać im Syrię, w 1832 r. pobli armii turecką Huselna paszy pod Konią.

**** — przenośny piecyk żelazny na węgiel drzewny, używany powszechnie na Wschodzie.

***** — lub oka, jednostka wagi, używana w wielu krajach wschodnich i na Bałkanach; w Turcji odpowiada 1,255 kg.

Książka o książce

ja Uniwersytetowi wraz z całym domem.

Rozdział trzeci, traktujący o zdobnicztwie i ilustracji, zainteresuje niechybnie wszystkich grafików oraz ludzi, którym nieobce są zagadnienia upiększenia książki, stworzenia z niej przedmiotu nie tylko użytkowego, ale i pięknego. I tu znów autor prowadzi nas przez historię począwszy od najdawniejszych czasów — zdobienie i ilustrowanie książek jest bowiem tak stare jak sama książka. Wynalazek druku zamyka wspaniałą epokę iluminatorstwa średniowiecznego, otwierając pole dla rozwoju nowych technik ilustratorskich, a zwłaszcza drzeworytu i miedziorytu. Autor nie zatrzymuje się jednak w połowie drogi — zapoznaje nas bowiem również ze stanem obecnym najnowszych technik ilustracyjnych — załować tylko należy, że czyni to w sposób nieco zbyt lakoniczny. Znajomość tych spraw jest w naszym społeczeństwie raczej bardzo słaba. Miłośników pięknych opraw na pewno zainteresuje rozdział czwarty, zaś ci, których zaciekawia technika produkcji książki znajdą niewątpliwie ciekawe wiadomości w rozdziale ostatnim traktującym o pracy wydawnictwa oraz o metodach rozpowszechniania książki.

Wielką zaletę omawianej pracy J. Grycyza stanowi bogaty dział ilustracji zawierający 106 tablic ożywiających tekst książki. Tablice te odbite na skromnym papierze ilustracyjnym zyskały by znacznie gdyby wydawnictwo mogło sobie pozwolić na papier o wyższej jakości, co by też umożliwiło dodanie choć kilku reprodukcji kolorowych. Naturalnie jest rzeczą jasną, że podniósłoby to do kolosalnie kosztowności, która — trzeba to podkreślić — jest bardzo tania w stosunku do jej szaty zewnętrznej i objętości (16 zł 25 gr).

Zarówno fachowcy jak i laicy wzięli piękna i nader potrzebną książkę Grycyza z uznaniem szczerze zadowoleni. Na podkreślenie zasługuje nadzwyczaj staranna korekta oraz estetyczna, a dostosowana do treści książki okładka.

St. Pagaczewski

*) Józef Grycz: „Z dziejów i techniki książki”. Wrocław 1951. Wyd. Zakł. Narodow. Im. Ossolińskich. Str. 172 + 106 tablic.

Amelia ŁACZYŃSKA

W ŚWIECIE STARYCH KSIĄG

Między dawnymi a nowymi czasy

KIMKOLWIEK by nie był, przybysz do Poznania, i jakimkolwiek ulicami miasta by kroczył nieodmiennie zawsze stanąć musi na placu Wolności. A gdy się po nim rozejrzy — uderzą go przykro ruiny wspaniałej klasycyzującej budowli, w rzedzie już odnowionych, pospolitych, handlowych gmachów. 24 kolumn z lanego żelaza na wyso-

A więc jednak odpowiedź pomysłna! Czekaliśmy parę lat — nie wszystko naraz da się zrobić — ale od teraz niedaleko już chwila, kiedy piękny, stylowy gmach, wzorowany na wschodniej części Luvru, znowu cieszyć będzie oczy i zapełni się żywą treścią. Tymczasem zrobimy krótki historyczny przegląd dziejów tej instytucji, która ma za sobą

Miłosierdzie będzie większe od mojej zbrodni. — Ludzie mnie odpychali. — Przyjmij mnie Panie. — Umieram z tym oświadczeniem, że nie kochał tyle, co Polskę i Kościół katolicki”.

Wyspa Edwarda na jeziorze w Zaniemięsiu, w mroźny dzień stycznia 1845, była niezwykle sceną ostatniego aktu tragedii. Armatka, pozostawiona tam od czasu gier miniaturowej floty wojennej, służyła za przedwziewne narzędzie. Kilo prachu, patyk, świecę — przyniósł sobie hrabia sam przez łód na wyspę. Jedynego jej mieszkańca, dozorcę pawilonu, odesłał na ląd pod byle pretekstem, a nielekną córeczkę jego wręczył list ze słowami: „Zanieś księdzu proboszczowi, prędko! A jeśli posłyszysz strzał na wyspie — nie odwracaj się! Przyspiesz kroku!”

W zupełnej ciszy i pustce zimowego krajobrazu desperat na wyspie, był zupełnie sam. Klęknął przed łufą armatki, świecą przymocowaną do kija, zapalił lont. Wybuch nastąpił. Potężna kula oderwała pół czaszki. Na ziemię opadło martwe ciało nie magnata i wielkiego pana, tylko nieszczęślika.

Choć piękna i wyczerpująca biografię Raczyńskiego napisał A. Wojtkowski, to tragiczny temat losów człowieka, nie kroczącego równoległe z narodem, czeka na pióro wzbogacone dzisiejszym doświadczeniem.

Biblioteka, mądrymi statutami obwarowana (niestety łamanymi nie raz przez Niemców) materialnie zabezpieczona — żyła dalej własnym życiem. Dla Polski stworzona — Polsce służyła. Jądro jej księgozbioru stanowiły zbiory prywatne i rodzinne Raczyńskich, pomnożone o niezwykle cenne rękopisy, zakupione od J. Ursyna Niemcewicza, a tak że księgozbiory pochodzące z rozmaitych klasztorów, po ich kasacie przez władze pruskie, jak np. pocysterski w Paradyżu. Niemal do rozbudowy księgozbioru przyczynił się przywilej otrzymywania egzemplarza obowiązkowego wszystkich druków wychodzących w księstwie. Pod względem dzieł historycznych i literatury polskiej był ten księgozbiór niezwykle dobrze wyposażony, a w późniejszych latach zebrane dzieła dotyczące roku 1848 były najpełniejszym kompletem w Polsce.

złote karty chwały i czarne karty cierpienia — bliskiego całkowitej zagłady.

DATA jej urodzin to rok 1829, a założycielem wielce zasłużonym na polu kulturalnym — obywatel Wielkopolski — Edward Raczyński. Miasto Poznań zawdzięcza mu poza biblioteką pierwsze wodociągi i pomnik królów: Mieczysława I i Bolesława Chrobrego, w Złotej Kaplicy przy katedrze, a mieszkańcy jego dojrzałymi — niejednym kościołem. Hojną ręką i tęgą głową, oraz obywatelskie poczucie miał ten magnat, ale brakło mu kontaktu ze społeczeństwem, kroczył dumnie i osobno. — Polakiem chciał być na swój, pański, feudalny sposób. Od prądów rewolucyjnych i demokratycznych odwracał się zdecydowanie. I choć pod Napoleonem, za niepodległość Polski pierś w wojnie nadstawiał (do pokoju Tyliczkiego), choć ofiar pieniężnych na cele publiczne nie żałował, głowy i rąk dla dobra kraju nie szczędził — poczuł się w końcu tak samotny, że postanowił życie sobie odebrać. A oto są słowa testamentu — na 2 dni przed śmiercią. Oddają ono najlepiej tragedię człowieka, na odludzie zabłąkanego.

„Umieram w świętej wierze katolickiej, a choć jawno grzesznik, uciekam się do nieprzebranego Miłosierdzia Bożego. Może Jego

Aktywność i przydatność tego ośrodka kultury narodowej w czasie niewoli pruskiej, uwydatniły się bardzo wyraźnie. Takie tłumy młodzieży ruszyły do jej murów, że władze niemieckie dały zakaz przyjmowania w czytelnich studentów. Mimo to, sale wypełnione były zawsze chciwymi wiedzy i polskiego słowa.

PIERWSZA wojna światowa nie tknęła skarbu narodowego, a prawnej własności miasta. W dwudziestolecie rozwijała się biblioteka pomyślnie, w roku 1938 posiadała własnych 150.000 tomów, nie licząc depozytów. Aż przyszła katastrofa! Hitlerowcy wchodzą do Poznania. Polskość ma być z korzeniami wyrwana! Niemcy zdecydowali się utrzymać bibliotekę, ale z gruntu zmienili jej charakter. Przysłany z Berlińskiej Staatsbibliothek dr Sattler postanowił utworzyć typ biblioteki specjalnej, regionalnej, historycznej ze szczególnym uwzględnieniem historii krajów wschodniej Europy — przy czym pojęcie „wschodu” było szeroko pojmowane: obejmowało również Balkany i kraje skandynawskie. Dr Maria Rymarkiewiczówna, która przepracowała całą okupację w bibliotece przy najwyższej, dostępnej Polakom funkcji, mianowicie katalogowaniu — opowiada, że opustoszały mury z czytelników, wzrastat personel, pęczniał księgozbiór — niepomiernie bogaty wszystkimi skonfiskowanymi bibliotekami prywatnymi — a czytelnie — poszerzone, unowocześnione — zamierały. Część polskich książek wyrzucono na makulaturę, część relegowano na najwyższe, zapomniane piętro. Germania rozsiadła się szeroko na wszystkich półkach dogodnych magazynów. W poszanowaniu pozostał tylko dział najcenniejszy, pierwotny i starodruków oraz rękopisów.

Gdy nieuniknionym okazał się zmierzch dumnych, germańskich bogów — władze biblioteczne zaczęły myśleć o zabezpieczeniu najcenniejszych książek. Skrzynie z częścią drogiego skarbu, wywieziono z Poznania do pobliskiego Obrzycka.

W gmachu biblioteki wojsko niemieckie utworzyło sobie punkt zbrojnego oporu. Zaciągnięto działka przeciwlotnicze, nie troszcząc się o książki zalegające półki. „Alles wird hier brennen” — zapowiadali pracownicy, którzy chcieli w schronach szukać ratunku. Bomby oblegających nie mogły uszanować wojennej placówki, kruszyły mury, a przed opuszczeniem miasta — Niemcy wykonali swoją zapowiedź: spalili gmach. Schrony ocalały, ale były puste. Zdawałoby się: koniec pięknej pieśni Biblioteki Raczyńskich!

A jednak! W lutym 1945 do dr Rymarkiewiczówny urzędującej wówczas w Zarządzie Miejskim zgłosił się wystannik z Obrzycka: „Są u nas skrzynie z książkami. Trzeba je zabrać”. Oczywiście, pojechała tam zaraz — uradowana. Początkowo trudno było znaleźć miejsce na ten cenny depozyt. Błąkał się po piwnicach i najnieodpowiedniejszych miejscach niszcząc, aż w końcu znalazł przytułek, w niedawno kreowanej Bibliotece Miejskiej. Uchwala Kolegium Zarządu Miejskiego z dn. 23 sierpnia 1945 — połączyła obie biblioteki w jedną instytucję pod kierownictwem fachowca mgr Józefa Frieske.

A teraz, wstąpmy na 3 piętro nieładnego, gmachu, gdzie mgr Olejniczak wraz z innymi naukowcami pracuje przy księgozbiore „specjalnym”, którego członem głównym jest ocalała własnie w Obrzycku resztką Biblioteki Raczyńskich.

Dowiemy się tutaj jak ciekawym jest oddział rękopisów (liczący 3500

sztek) z najstarszymi, pochodzącymi z XIII wieku. Możemy je obejrzyć i przeczytać, a także podumać chwilę i przenieść się wyobraźnią poprzez setki lat do chwili kiedy zamaszty podpis i wielką pieczęć — kładł własnoręcznie pod aktem, żyjący wówczas mąż. O historii mówią listy królów: Zygmunta Augusta, Batorego, Zygmunta Wazy, mężów stanu: Chodkiewicza, Czarnieckiego, atamana Chmielnickiego i innych. I literatura przedstawia swoje drogie pamiątki: oto rękopis „Marii” Malczewskiego, listy trzech wieszczów, pisma Lelewela i Niemcewicza, „Chłopi” Reymonta w tłumaczeniu japońskim. Ozdobny rękopis „Koranu” na pergaminie w formacie książki do nabożeństwa, po arabsku — klejnocik bibliofilski. Najcenniejsze z tych dokumentów pochodzą ze zbiorów radziwiłłowskich, odkupionych przez Niemcewicza i odsprzedanych potem Konstancji Raczyńskiej. Wiele z nich będzie teraz mikrofilmowanych i w tej najnowocześniejszej postaci oddanych do użytku naukowcom specjalistom.

Oddział inkunabułów i starodruków obejmuje 15.735 pozycji. Proszę obejrzyć: druk krakowski z r. 1475. Autorem „Explanatio in psalterium” jest Johannes de Turrecrмата. A druk norymberski z r. 1493. Ciekawa historia świata — niejakiego Schedla, bogato zdobiona rycinami, wśród których najstarszy obraz Krakowa posiada dla nas niezwykle wartość.

Oddział kartograficzny prowadzony przez mgr Ewiza — obejmuje około 1000 pozycji, przeważnie starych map.

W pracowni bibliotekarzy umieszczono stoły dla czytelników. Prymitywne są one i niewystarczające, ale nie można zamykać zbiorów. W nowym świecie wszystko żyć musi i pracować. Księgom i dokumentom na półkach, nie wolno bezużytecznie stać. Profesorowie, studenci i pracownicy naukowo, przychodzą tu szperać, czytać, nie szukając wygody — potrzebują wiedzy.

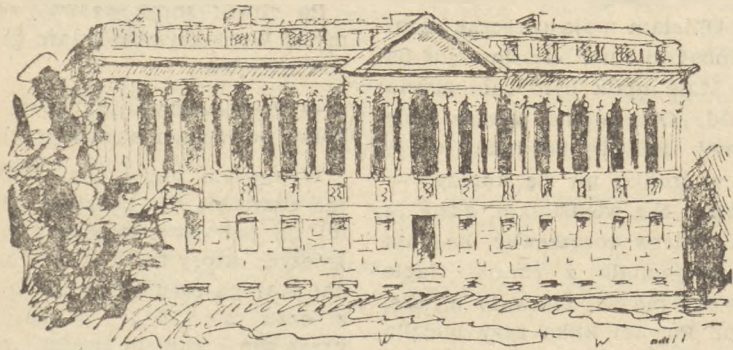
Za rok już może biblioteka znajdzie się w gmachu przy placu Wolności. Dr Rymarkiewiczówna, mgr Kurkówna, Morkowska — wrócą szczęśliwie tam, gdzie pracowały, skąd niestrudzenie i nie bacząc na niebezpieczeństwo — potajemnie, wydawały w czasie okupacji — polskie książki uczące się młodzieży.

Znajdą się tam także obszerne magazyny na księgozbiór podstawowy wypożyczany na miejscu, liczący już dziś 43.000 tomów i magazyny na księgozbiór przepływowo, (opracowywany i rozdzielany między placówki terenowe, filie i wypożyczalnie). Znajdzie się też miejsce na wzorowe czytelnie oraz na pracownię biblioteczną.

16 placówek na terenie miasta (księgozbiór ich wynosi łącznie około 100.000 tomów) z liczbą 38000 czytelników, w dużej mierze ze sfer robotniczych — stanowi olbrzymi zasięg działania biblioteki. Poprzez placówki terenowe, oświatowe i ich centralę szara masa czytelnicza wiąże się u podstaw, ze szczytem piramidy, na której promienieje jak słońce przybytek właściwej nauki. Nie każdy tam dojdzie, ale każdy sięgnąć może.

Dawny gmach Raczyńskich — nie pomieści całej rozrastającej się instytucji. Jak nas zapewnia dyr. Róg Mazurek — w niedalekiej przyszłości powstać ma nowy gmach przy al. Marcinkowskiego, opierający się bokiem o swą macierz. Tak więc przetworzone nowe ze starym — stanowić będzie wspaniałą twórczą symboliczną.

A. Łaczyńska



Biblioteka Raczyńskich

rysunek autorki

kim podmurowaniu — podtrzymuje nad sobą tylko daleki strop niebieski. Tu była siedziba Biblioteki Raczyńskich. Ale nie należy płakać zbyt długo nadopuszczonymi — zda się — szczątkami, bo...

Chodźmy niedaleko na ulicę Armii Czerwonej. Pod 65 stoi tam domisko surowe, proste, zwyczajne, dawna szkoła powszechna. Po schodach brzydkich i łamanych wchodzimy do gabinetu dyrektora Feliksa Róg Mazurka. Siedzi za biurkiem, młody, energiczny, przedsiębiorczy kierownik instytucji, która powstała ze złączenia się dwóch bibliotek: naukowej — Raczyńskich wnoszącej do wspólnego kapitału ocalałą część cennego księgozbioru oraz wspaniałą tradycję, i oświatowej — Miejskiej z nowym księgozbiorem, narastającym w zawrotnym tempie.

— Panie dyrektorze! Kiedy można się spodziewać odbudowy gmachu Biblioteki Raczyńskich? — pytamy, niecierpliwie oczekując pomysłnej odpowiedzi.

— W tym roku już zacznie się na serio odbudowa przy placu Wolności. Plany zrobione i zatwierdzone. Poszczególne części, jak drzwi i okna są już w robocie. Potrzebne sumy asygnuje Fundusz Odbudowy Stolicy. W roku 1953 gmach będzie gotowy i przeprowadzimy się wtedy do niego.

Z FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

KONCERT symfoniczny, który odbył się 11 lipca w przepelnionej publicznością Halli Mirowskiej należy do rzędu tych, które popularyzują muzykę wysokiej klasy. Program ułożony był bardzo dobrze i zawierał utwory, które zainteresować mogły każdego — nawet mało muzycznie wykształconego — słuchacza.

Muzyka pierwszej części koncertu to królestwo bel canta i koloratury: Gioacchino Rossiniego (1792 — 1868) uwertura do „Cyrulika sewilskiego” i aria z tejże opery, Mozarta „Wariacje” w opracowaniu Adama Grunoda walc z opery „Mireille” i Gaetano Donizettiego aria z opery „Linda di Chamounix”. Druga część koncertu to dwa dzieła najwyższej miary: „Niedokończona” symfonia h-moll Franciszka Schuberta (1797 — 1828) i koncert fortepianowy e-moll Fryderyka Chopina (1810 — 1849).

Orkiestrę Filharmonii Warszawskiej sprawnie prowadził Stefan Marczyk, jako solistki wystąpiły: w pierwszej części koncertu Halina Mickiewiczówna (sopran), w drugiej — Halina Czerny-Stefańska (fortepian).

Niemalże trudności pokonała musi śpiewaczka, która występuje przed publicznością w tak trudnym repertuarze, jaki słyszeliśmy na ostatnim koncercie. Wielcy kompozytorzy minioniej epoki (MO-

zart, Rossini i in.) pisali swe arie operowe niemal zawsze pod kątem widzenia techniki i właściwości głosowych tego lub owego wykonawcy, który nierzadko domagał się takich właśnie arii jakby pozwoili mu popisać się przed publicznością swym kunsztem.

Halina Mickiewiczówna pokonała wszystkie — i to niemałe — trudności bardzo dobrze. Co więcej — potrafiła słuchaczom ukazać piękno tej muzyki, która mimo swej niewatpliwej jednostronności zachwycała dawniej i zachwyca dziś jeszcze licznych miłośników muzyki.

„Niedokończona” Schuberta słucha się zawsze z głębokim wzruszeniem, a równocześnie z... żalem, że tak rzadko słuchacze nasi słyszą jego wspaniałe pieśni. „Niedokończona” każdy meloman umie prawie na pamięć, podczas gdy pieśni Schuberta zna tylko kilka. Tkwi tu chyba jakieś zasadnicze nieporozumienie, któremu o. by kres położył najbliższy sezon koncertowy.

Wykonany wspaniale przez Halinę Czerny-Stefańską koncert fortepianowy e-moll Chopina wiąże się nierozdzielnie z ostatnim, pożegnaniem koncertem, z jakim Chopin wystąpił w Warszawie przed wyjazdem do Paryża. Lektura ówczesnej prasy świadczy o tym, że wszyscy słuchacze, licząc wówczas zebrani w sali Teatru

Narodowego, zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że jest to arcydzieło. Choć dedykowany później słynnemu pianście Kalkbrennerowi (jeszcze jeden dowód koniunkturalności wielu dedykacji Chopina), koncert ten (co najmniej zaś jego środkowa część) zawdzięcza swoje powstanie miłośnikowi 20-letniego wówczas Chopina do Konstancji Gładkowskiej. Ciekawe, że Chopin, który bardzo lubił literackich komentarzy do swoich dzieł, tym razem w liście do Tytusa Woyciechowskiego napisał o wspaniałym „Larghetto” tego koncertu takie oto słowa: „...jest ono więcej romansowe, spokojne, melancholijne, powinno czynić wrażenie miłego spojrzenia w miejsce, gdzie stawa tysiąc lubyh przypomnień na myśl. Jest to jakieś dumanie w piękny czas wiscenany, ale przy księżycu. Dlatego też akompaniuję go sordina-mi”.*).

Pozostałe części koncertu nie mają tak dokładnego „autoryzowanego” komentarza literackiego, i... nie tracą przez to nic z pełnego romantycznego czaru piękna.

C. Krzewski

* con sordino (wł.) oznacza gre z użyciem tłumika. Przy grze na instrumentach smyczkowych używa się do tego celu małych trójbobów drewnianych lub metalowych, które nakłada się na struny. Powoduje to osłabienie dźwięku instrumentu.

Harold LASKI

tłum. Beata HŁASKO

EKSPERYMENT ROOSEVELTA

Harold Laski, niedawno zmarły ideolog labourystowski jest typowym przedstawicielem radykalizującego mieszczaństwa. Jakkolwiek zaliczał się on na równi ze Stafford Crippsem do lewego skrzydła Labour Party nie mniej jednak nie wyrażał on nigdy zrozumienia dla rzeczywistych interesów klasy robotniczej, zarówno w skali brytyjskiej jak i międzynarodowej. Tym ciekawsza jest poniższa analiza źródeł amerykańskich tendencji faszystowskich okresu rooseveltowskiego New Deal'u. Analiza ta pisana w latach wojny, opublikowana została w roku 1943 w książce „Reflections on the Revolution of our time”.

Redakcja

FAKT, że chłonność gospodarcza Stanów Zjednoczonych skończyła się w roku 1919, odegrał ogromną rolę w ich ewolucji. Poczynając od tej chwili system masowych kontroli, które trzeba było wprowadzić, przede wszystkim pod naciskiem klas pracujących, wykazał, że punkt nasycenia został osiągnięty. W pierwszym trzydziestolecu naszego wieku nastąpił bardzo szybki rozwój systemu szkół prywatnych dla dzieci ludzi bogatych, wzorowany na szkolnictwie angielskim. Ponadto, pomimo że zjawisko to hamowane było przez kryzys, powstała w Stanach Zjednoczonych klasa ludzi próżniących, przypominająca w wysokim stopniu swym układem i obyczajami brytyjską i francuską arystokrację niepracującą, której największą troską była obrona własnych przywilejów ekonomicznych. A wreszcie zaznaczyć trzeba, że nigdzie chyba wielcy ludzie interesu nie osiągnęli takiego stopnia samowładztwa jak w Stanach Zjednoczonych. Ludzie tacy jak Ford, magnaci stali z Pittsburga, królowie węgla z Kentucky i Pensylwanii wykorzystywali swą potęgę przemysłową z autorytetem, który niejednokrotnie z powodzeniem rywalizował z władzą państwa i rządów federalnych. Trudno doprawdy czytając literaturę Stanów Zjednoczonych z okresu 1920 — 1930 nie zauważyć, że granice polityczne demokracji były wówczas bardziej zagrożone, niż w jakimkolwiek innym okresie historii amerykańskiej.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że poczynając od 1932 r. prawodawstwo, na mocy którego w Europie do władzy dopuszczony był kapitalistyczny etatyzm, posiadało w Stanach Zjednoczonych tylko bardzo nielicznych zwolenników. Nie ulega wątpliwości, iż wytłumaczenia tego faktu należy poszukiwać w przyczynach zarówno psychologicznych jak i ekonomicznych. Silny indywidualizm pionierów, ich optymizm, wiara w siebie — to cechy które przetrwały w Stanach Zjednoczonych przez długi okres czasu, nawet wówczas gdy picnierskie warunki życia przestały istnieć. Nie jednak nie obrażuje lepiej niebezpieczeństw zagrażających demokracji amerykańskiej, jak historia rządów Roosevelta w latach 1932 — 1940. Większość wydanych przez niego zarządzeń można porównać do zarządzeń brytyjskiego rządu liberalnego z okresu 1906 — 1914, a więc: ubezpieczenia społeczne, pomoc państwa dla bezrobotnych, rządowy plan budowy mieszkań, federalna kontrola służb publicznych, kilka doniosłych prób wprowadzenia własności kolektywnej jak np. w Tennessee Valley, przyznanie związkowi zawodowym prawa zawierania umów zbiorowych w imieniu zrzeszonych. Za New-Deal opowiedziała się opinia publiczna, świadczy o tym w sposób dobitny dwukrotny ponowny wybór Roosevelta na stanowisko prezydenta, wbrew tradycji ustalonej od dwu i pół wieku.

Za New-Deal opowiedziała się opinia publiczna. Mimo tego, żaden chyba prezydent amerykański nie spotkał się z nienawiścią tak zorganizowaną i tak jadowitą, z jaką

spotkał się Roosevelt na skutek stworzenia swego programu. Oskarżono go o dyktaturę, o komunizm, o antyamerykańskie nastawienie. Atakowali go prawie wyłącznie bogacze. Antagonizm wywołany jego reformami spowodował rozłam w rodzinach i zniweczenie długotrwałych więzów przyjaźni. Choć zarządzenia te były nieuniknione ze względu na gigantyczny charakter zagadnień, które należało rozwiązać, choć większość tych zarządzeń była od dłuższego czasu pożądana, choć oponenti zwalczający ponowny wybór Roosevelta w r. 1936 i 1940 przedkładali program, którego ogólne zasady prawie nie różniły się od jego programu — nie nie było w stanie ulagodzić nienawiści, jaką uprzywilejowani żywni w stosunku do prezydenta. Jest rzeczą znamionną, że wielu przeciwników nie zawahało się przed nawiązaniem intryg z najciemniejszymi siłami działającymi w polityce amerykańskiej. Zanotować także należy w Stanach Zjednoczonych zdecydowany wzrost antysemityzmu, przejaw będący w każdym społeczeństwie wskaźnikiem upadku pojęć demokratycznych.

Doświadczenia z okresu rządów Roosevelta są szczególnie uderzające i znamienne dla wszystkich, którzy znają zarówno charakter poprzedniej epoki, jak i wywierające duże wrażenie dowody zebrane w różnych ankietach na temat antyspołecznych obyczajów ludzi interesu, których to potęgę poczynania Roosevelta miały ograniczyć. Doświadczenia Roosevelta stają się jeszcze bardziej uderzające, jeśli przypomnimy, że w okresie pierwszych miesięcy jego prezydentury, nawet najzagorzalsi przeciwnicy mu sieli przyznać, że udało mu się szczęśliwie przeprowadzić Stany Zjednoczone przez okres kryzysu znacznie groźniejszego, aniżeli wszystkie poprzednie od czasu wojny domowej. Moim zdaniem w pierwszych latach New-Dealu ujawniło się silnie zakorzenione w umysłach ludzi interesu przekonanie, że demokracja znaczy „liberalizm” i że jeśli demokracja przeczy tej doktrynie, w ich pojęciu traci całkowicie wartość. Przemoc w amerykańskich stosunkach społecznych jest zjawiskiem bardziej powszednim aniżeli we Francji czy Wielkiej Brytanii. Wątpliwie, nawet jeśli wziąć pod uwagę tę różnicę, aby opinia publiczna we Francji czy Wielkiej Brytanii mogła się kiedykolwiek pogodzić z tego rodzaju nielegalnym naruszaniem wolności obywatelskiej, jakie było świadomością praktykowaną przez ludzi interesu w Stanach Zjednoczonych. Aby słusznie ocenić rozmiary tych przekroczeń należy przeczytać szczegółowo taki dokument jak raport Komisji senackiej, której przewodniczył senator La Follette, dotyczący sprawy wolności obywatelskich. Korupcja, szpiegostwo, szantaż, gangsterstwo, a nawet świadome posługiwanie się dla niesłusznych celów najwyższymi państwowymi i niższymi, federalnymi sądami — oto czynniki, do których uciekają się wielcy ludzie interesu w Ameryce.

Nieliczne były wielkie trusty przemysłowe nie posiadające własnego wojska uzbrojonego w karabiny maszynowe i gazy łzawiące, które miało udaremnić opanowanie fabryk przez organizacje robotnicze. Więcej nawet, w niektórych okre-

gach Stanów Zjednoczonych jak np. w Luizjanie rządzonej przez senatorem Long, w Jersey City rządzonej przez burmistrza Hague, w Imperial Valley w Californii — przytaczam tu tylko kilka przykładów — amerykańska Deklaracja Praw Człowieka nie miała żadnego znaczenia w obliczu zdecydowanego postanowienia przez ludzi interesu: maksymalnego wykorzystania przywilejów, które dźwierzeli na mocy niezaprzeczalnie posiadanej władzy ekonomicznej. Sądzę, iż bez przesady stwierdzić można, że w 1940 r. pod pozornym przyjęciem zasad demokratycznych tkwiła głęboko zakorzeniona idea faszystwu.

Pod pokrywką sloganu: „Zaufanie publiczne, jedność narodowa, święty autorytet” kryły się instytucje mające odebrać ludziom pracy bogactwa, których źródłem byli przecież oni sami. Ludzie interesu nie mieli zasad politycznych, przystosowywali się do każdej formy rządów, byle tylko pozwolono im w spokoju ciągnąć zyski, o ile jednak warunek ten nie zostałby zachowany, nie zgodziliby się z żadną. Nie było więc innego sposobu uratowania amerykańskiej demokracji, jak tylko przez zniszczenie przywilejów.

CHARAKTER epoki Roosevelta wykazał bez najmniejszej wątpliwości, że zasadnicza sprzeczność między kapitalizmem a demokracją, sprzeczność która wywołała tak decydujący kryzys w Europie znajduje się w Stanach Zjednoczonych, choć z pewnym opóźnieniem, w stadium pełnego rozwoju. Wszystkie zagadnienia dręczące Europę istnieją i tam chociaż ich nasilenie jest różne. Istnieją, gdyż jeśli polityczna demokracja ma być silna, to musi posiadać ekonomię dążącą do ekspansji, a w Stanach Zjednoczonych, tak jak i wszędzie, droga do ekspansji jest już dla kapitalizmu zamknięta. Dlatego właśnie Ameryka zrównała się z Europą na tym poziomie, na którym masy pragną posługiwać się swoją mocą polityczną, by poprawić swoje wa-

runki bytu. Masy te spostrzegły się, tak jak i inne poprzednio, że cel ten osiągnąć mogą jedynie o ile będą zdolne doprowadzić do zasadniczej zmiany w podziale własności. Lecz skoro usiłują zmiany te utrwalić, odkrywają, że zaczynają wówczas wchodzić w grę same metody demokracji. Nie mogą bowiem — jak to przewidział John Taylor — istotnie zmienić podziału własności bez naruszenia przywilejów. Te zaś z czasem nabrały tradycyjnej mocy zakorzenionej niemal tak silnie jak wiara religijna, ponieważ posiadanie przywilejów zrodziło dla ich posiadaczy nowy sposób życia, na którym oparł zespół wartości, wokół których obraca się cały ich byt. Nie mogą się ich wyrzec, jak nie mogli tego uczynić ich poprzednicy w innych ustrojach. Czują oni, że żąda się od nich uznania rewolucji, która naraża na szwank nie tylko ich interesy, lecz również interesy całego społeczeństwa. Pojęcia ich bowiem opierają się na absolutnym przekonaniu, że ich własne interesy i dobro społeczeństwa to jedno i to samo.

Oto, co jak sądzę, wystarcza, by wyjaśnić dwie cechy społeczności amerykańskiej, które wprowadzają w zakłopotanie postronnego obserwatora. Po pierwsze, dlaczego tak umiarkowane zarządzenia Roosevelta wzbudziły tak głębokie oburzenie, a nawet przyczyniły się do rozłamu w opinii amerykańskiej, którego linia przebiega prawie dokładnie według linii podziału ich dochodów? Ogólnie biorąc związki zawodowe, bezrobotni, drobni rolnicy, prawdopodobnie masy rzemieślnicze oraz, fakt to znamienne, większość pracowników umysłowych opowiedziały się za prezydentem. Przeciwni mu wystąpili przywódcy finansów i przemysłu, rentierzy, agenci handlowi i stowarzyszenia prawników. Po drugie dlaczego rozwój faszystwu wniecił głębokie oburzenie w grupie pierwszych a wielkie zainteresowanie, czasem nawet pełne entuzjazmu, u drugich. Trzeba przyznać, iż prawdą jest że

entuzjazm ten był o wiele większy w okresie władzy Mussoliniego, aniżeli wówczas gdy Hitler odgrywał pierwszą rolę i gdy jego prześladowania rasowe i religijne wzbudziły powszechną niechęć. Tym niemniej nie przeszkadzało to drugiej grupie uważać na ogół faszystwu jako normalną odpowiedź posiadaczy na groźbę komunizmu: dobrze było dysponować energicznymi ludźmi, by nakazać masom respekt. Znaczna ilość ludzi, szczególnie za rządów Roosevelta, sądziła, że amerykański świat robotniczy „potrzebuje Hitlera”.

TEZA moja jest prosta: podczas całego okresu międzywojennego, ekonomiczne warunki świata zachodniego były wyzwaniem dla demokracji do rozszerzenia swoich metod na dziedzinę ekonomiczną i społeczną. Lecz klasy rządzące nie godziły się na to ponieważ widziały w tym rozszerzeniu niebezpieczeństwo dla przywilejów, do których, jak sądziły, mają prawo. Gdy miały wybierać między demokracją a tymi przywilejami, w najlepszym wypadku ogarniała je niepewność, w najgorszym zaś nawet nie usiłowały ukryć, że wolą przywileje. Stąd też różne ustosunkowanie się członków klas panujących do komunizmu z jednej strony i do faszystwu z drugiej strony. Pierwszy wywołał w nich niechęć, lęk i nienawiść świadczące o tym, że czują się zagrożeni. Z radością zaś witali najdrobniejsze nawet oznaki — choćby czarne — które można tłumaczyć sobie jako wskaźniki przegranej ZSRR. Na ogół faszystwu nie wzruszało ich tak bardzo, wręcz przeciwnie, większości z nich wydawał się on jedynie zdrową formą dyscypliny dla mas. Uderzające też są wysiłki, które czynili, by znaleźć platformę porozumienia z jego przywódcami na arenie międzynarodowej, w przeciwieństwie do ich polityki generalnej interwencji w stosunku do ZSRR.

Ameryka w jednoaktówkach Alberta Maltza

NA powstanie dramaturgii Alberta Maltza złożyły się dwa czynniki. Pierwszy to amerykańska rzeczywistość kapitalistyczna z jej wstydliwymi zaukami, a drugi — to wyjątkowe wyczulenie na krzywdę społeczną u postępowego pisarza. Zespolenie tych czynników dało utwory sceniczne, w których widz europejski znajduje nie tylko charakterystyczne obrazy z życia amerykańskiego, lecz również zamkniętą w nich temperaturę gorącego protestu przeciw temu życiu.

Aby zrozumieć atmosferę jednoaktówek Maltza, które wystawił w lipcu Teatr Domu Wojska Polskiego, cofnąć by się trzeba w lata bezrobocia i kryzysu, przywołać na pamięć dręczące uczucia ludzi nie znajdujących zajęcia, odsuniętych na ślepy tor życia, zawsze bliskich psychicznego załamania. Albo tych, z którymi bezwzględnie rozprawia się policja, gdy strajkując żądają słusznej płacy. Trzeba by też przypomnieć sobie i wniknąć w nastroje sprawiedliwego gniewu, który rozpłomienia działaczy związkowych i agitatorów, walczących o robotnicze prawa. Obce najmłodszym naszym widzom, w Ameryce sprawy te żywe były nie tylko w latach wielkiego kryzysu, po których powstały jednoaktówki Maltza, lecz żywe są i dzisiaj i okre-

ślenie scenariusza, że „rzecz dzieje się współcześnie”, nie straciło swej smutnej aktualności.



Teatr Domu Wojska Polskiego w W-wie. Jerzy Pichelski i Jotanta Skowrońska w jednoaktówce A. Maltza „Próba”

Rzecz dość niezwykła, lecz najlepszym z wystawionych na scenie Teatru DWP utworów jest ten, który u dramaturgował Adam Tarn ze znanej i u nas nowelli „Najszczęśliwszy człowiek na świecie”. Wypełnia go dialog dwóch mężczyzn: jeden, przybyły z daleka bezrobotny, błaga jak o zbawienie o powierzenie mu niebezpiecznej, grożącej śmiercią pracy; drugi, brat jego żony, długo go

odwodzi, aż ustępuje w końcu, by po wyjściu tamtego, oszołomionego radością, pograżyć się w nimce i beznadziej rozpacz. Autor „Zwykłej sprawy” umiał ze znanym mu kunsztem konstruować na uczuciach męża i brata dramatyzm dialogu, potęgując go aż do równie tragicznej, co ironicznej polity o „najszczęśliwszym z ludzi”.

„Szeregowiec Hicks” (przekł. R. Ordyńskiego) ukazuje na tle akcji wojska przeciwko strajkującym konflikt zachodzący w prestym żołnierzu amerykańskim między dyscypliną wojskową a solidarnością z robotnikami, wśród których znajduje się i własny jego ojciec. Hicks rzucił karabin o bruk; pod naciskiem swoich dowódców już, już ugina się, w ostatniej chwili jednak odgłosy manifestacji wzmacniają jego świadomość społeczną i każą mu ponownie akt buntu i oporu.

Akcja ostatniej z jednoaktówek pt. „Próba” odbywa się podczas próby w amatorskim zespole: Maltz korzysta tu zapewne ze swych kilkuletnich doświadczeń jako kierownika nowojorskiego związkowego „Union Theatre”. W „Próbie” narzeczona nie umie podjąć ważnej ideowej roli, przeżywa dziwny wewnętrzny kryzys. Okazuje się, że przyczyna tkwi w urazie lekowym na tle rodzinnej

(Dokończenie na str. 10)

Leon DWERNICKI

Zamurowane stulecia

W autobusie jest ciepło. Na szybach deszcz sygnalizuje znakami Morse'a swą obecność. Nie warto odczytywać, wiem już wszystko, w czerwcu dżdżysto i pochmurno, w lipcu ciepło, przelotne deszcze

Drobne kropeczki na szybach znikają szybko. Deszcz jakby wstydząc się swych spóźnionych wiadomości, zmywa je potężną, mokną chustą. Leje jak z cebra. W Gnojnie była już pogoda. W sam czas, bo nawaliło tylnie koło. Na szosie

koło. Dalej poszło już przepisowo. W autobusie pasażerowie przesiadli się na lewą stronę, prawą należało odciążyć, gdyż posładała tylko pojedyncze koło. Kilka większych wozów, kilka zjazdów na nos i jak sztydło z worka wypchnięty został z Szydłowie z autobusu.

WŚRÓD POŻARÓW I MIN

PŁONĘŁY jeszcze chałupy, szare kłęby dymu stały nad kościołem św. Władysława, a ostatnie patrole hitlerowskie chykiem prze-

gnia. Te pamiątki z czasów króla Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego dzięki pomocy państwa zostały nie tylko uratowane, ale rzecz nie do wiary, po odbudowaniu odzyskały swe dawne prastare piękno".

O MURACH OBRONNYCH, JASKINIACH I ZBÓJCACH

SZOSA z Kielc przez Chmielniki — Gnojno — Szydłowie biegnie wprost do Staszowa. Wprost, jeśli nie liczyć paru gwałtownych zakrętów i kilku wjazdów na pagórki. Od Gnojna jest już trochę falisto, a przed Szydłowem wznosi się niezły grzbiecik, który łagodnie opada by rozplynąć się w dolinie rzeczki Cieknacej.

Każdy kto stanie na tym grzbiecie, przeciera oczy i mruży: „Fata Morgana czy co u licha“, ale obraz nie znika. Po drugiej stronie doliny, szczyt wysokiego wzniesienia opasany jest potężnymi, wysokimi murami z blankami. Domyślić się można, że tworzą one obszerny czworokąt, gdyż w jednym z rogów widać ściany zamku, a dalej, przy szosie, wyniosła baszta czy bramę, broniącą przystępu do obronnego grodu. Wszystko to jest jak z igły, to nie zwaliska, ale prawdziwe mury i baszty. Lepiej zejść ze wzgórza, bo ani chybi strzała z furkotem może przewiercić moje cywilne i zupełnie nie pancerne odzienie.

Schodzę więc do Cieknacej, a później wędruję ku baszcie. Baszta jest właściwie bramą umieszczoną w murach obronnych, tu już poważnie zniszczonych. Napis głosi: że Brama Krakowska została w roku 1943 odbudowana. Warto zapamiętać tę datę, w rok po wojnie państwo dokonało konserwacji cennego zabytku budownictwa średniowiecznego, w tym też roku dokonano rekonstrukcji partii murów obronnych oraz zachowanej jeszcze części zamku tak zwanej Sali Rycerskiej.

DOTYCHCZAS wszystko jest jasne i zrozumiałe z wyjątkiem jednego. Skąd Szydłowie posiada mury obronne i zamek? Ale po co się trudzić i wyjaśniać, skoro uczyniła to już w roku 1867 „Encyklopedia Powszechna“ głosząc: „Szydłowie pow. Stopnicki, odległy dwie mile od Staszowa. Osada wielce starożytna. W ustach ludu przechowała się legenda o założeniu tego miasta, wedle której miały tu być pierwotnie wielkie puszcze, a w nich sławny zbójnik, niejaki Szydło, miał swoje jaskinie. Król Kazimierz Wielki upodobałszy sobie to miejsce, wielce dla polowań dogodnie, owego Szydła złapał, a na pamiątkę tego złożył miasto i Szydłowem nazwał, a na miejscu jaskiń zbójnika kościół wystawił“.

A dalej:

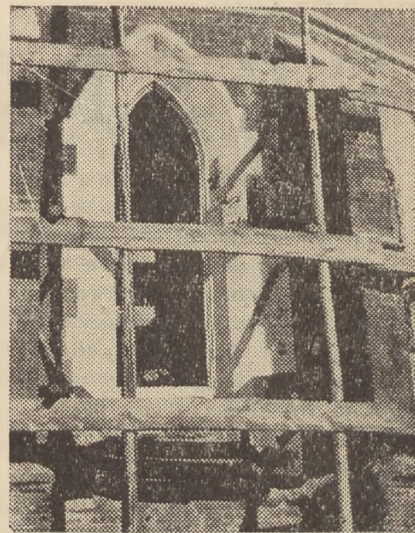
„U stóp góry na której stoi kościół św. Ducha są jaskinie ludzką ręką poprawione, które kiedyś za schronienie dla ludzi służyć mogły“. I jeszcze głosi Encyklopedia: „Kazimierz Wielki opasał Szydłowie murem, zamknął go trzema silnymi bramami, wzmocnił warownym zamkiem, i wspaniałą przyozdobił świątynią, tak dalece, że w dawnych przywilejach to miasto nosi nazwisko wielkiego, albo muiowanego“.

Wystarczy! Wiemy już wszystko, możemy więc przekroczyć Bramę Krakowską. Pierwsze wrażenie nie jest zbyt przyjemne. Wątpliwej czystości uliczki, ruiny i kilka ubogich domków. Po za piękną zasloną odnowionych murów obronnych z dawnego miasteczka nie pozostało. Wojny, pożogi i bómór walczyły tym szlakiem od wieków, od Sandomierza do Kielc, od Nidy do Wisły i zmioły wszystko. Został tylko człowiek.

Z budowlą ręką ludzką wzniesionych ostał się jeszcze kościół farny św. Władysława, około 1349 — 55 r. przez króla Kazimierza ufundowany oraz kościół Wszystkich Świętych (dawniej św. Ducha), ale ten już po za murami obronnymi się znajduje. Stoi on na skale, w której są dwie spore pieczary, legendarne mieszkanie zbója Szydła.

Kościół św. Władysława, to jedyny ceglany gotycki budynek, który zachował się jeszcze w Szydłowie. Wielki pożar w r. 1630, który zniszczył zamek, nie oszczędził i kościoła.

Podczas ostatnich prac nad odbudową spalonego przez hitlerowców kościoła, stwierdzono niezbi-



Szydłowie. Prezbiterium kościoła św. Władysława

piekno. W ocalałych, ogołoconych murach świątyni, ukazały się dwa wspaniałe bogate romańskie portale. Po usunięciu tynków surowych kształty wystąpiły ze wspaniałą wyrazistością.

Wojewódzki Urząd Konserwatorski doceniając wartość odkrycia przystąpił do zabezpieczenia świątyni, a państwo udzieliło pomocy materialnej i odbudowano kościół nadając mu dawne kazimierzowskie piękno.

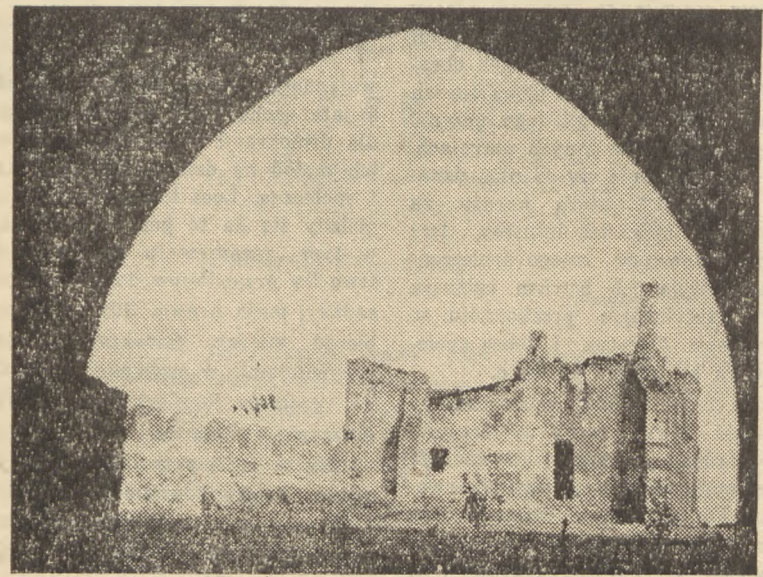
Podobną pracę „twórczą“ wojny widać i w kościele Wszystkich Świętych. Pożar i wstrząs wybuchów spowodował, że odpadły tu tynki, odsłaniając polichromię gotycką. Ściany nawy i prezbiterium w całości pokrywają malowidła. Gdy oglądałem je były bardzo wyblakłe, zatarte i zniszczone. Ileż jednak trudu zadał sobie bezimienny ich twórca, by na szorstkiej, kamiennej bryle ściany przedstawić takie tłumy postaci.

MŁODY LAS

OBSZERNY dziedzinec zamkowy zarasta trawą, odbudowana Sala Rycerska technicznie pustką, piękne mury obronne z blankami, rzucają posępny cień. Można by zapisać się w odległe stulecia, zadumać się nad losami zamku i miasteczka, które historią umieszcza na szlaku wojennym, jednak gwar głosów dolatujący z budynku szkolnego, przerywa rozmyślenia.

Budynek szkolny stoi na skraju dworskiego dziedzińca. Gmach nie piękny, zupełnie nie dostosowany do otoczenia, ale przecież nie to chodzi. Dziś to wielki ul, szumiący, rozbrzmiewający radością, z którego niby pszczoły co chwila wylatują rozradowani chłopcy i dziewczęta.

Koniec roku szkolnego i rozdanie świadectw. Gwar coraz więk-



Szydłowie. Arkada zamkowa i „Skarbczyk“.

Dot. T. Chranowski

odbywa się długa, ale nie produkcyjna, narada pasażerów z szoferem. Dopiero po godzinie postanowiono zdjąć jedno z podwójnych tylnych kół i ryzykować jazdę na jednym. Rozpoczęły się poszukiwania lewarka. Był nawet niedaleko, spoczywał w blaszanej skrzynce, zamkniętej potężną kłódką, pod siedzeniem szofera. Szofer nie posiadał klucza. Nastąpiło pociągnięcie nosami, skrobienie się w głowy i bieg do kowala na skraj wsi. Młot, dłuto i pół godziny rąbania, kłódką bohatera spełniła swą rolę. Wreszcie rozwarło się wnętrze skrzynki. Jest lewarek! Zdjęto

chodziły dolinę rzeczki Cieknacej, by umknąć do Kielc, gdy mieszkańcy Szydłowa rozpoczęli ratować swe domostwa.

„Nie wiele jednak zdołano uratować, przeszło 90% domów zostało spalonych“. — Ksiądz Konstanty Tomal wskazuje mi na wypalone domy na rynku. W ogrodach i na polach Szydłowa leżały tysiące zdradzieckich min, co chwila słychać było wybuchy.

Co stało się z murami obronnymi i kościołami? — zapytuję księdza.

— „Wyszyły względnie obroną ręką z tego potopu pocisków i o-

Ameryka w jednoaktówkach

tragedii, związanej z udziałem w strajku. Reżyser wyzwala ją z zamknięcia i Wiera Savage oddaje wtedy wstrząsająco szczerze rewolucyjno-społeczną partię swej roli.

Jak widzimy, utwory sceniczne Maltza to dramaturgia na wskroś walcząca. Zmierza ona najprostszą drogą do silnego efektu agitacyjnego. Jej walor tkwi w dramatycznych pomysłach, może nieco wyrozumowanych, lecz posiadających niewątpliwą zaletę sceniczną. Artystycznie zawodzi natomiast opracowanie szczegółów akcji i motywacji psychologicznej, szczególnie w „Szeregowcu Hicksie“. Najbardziej wyrównana jest faktura pierwszej z omawianych jednoaktówek, pozostałe mają najlepsze partie końcowe, gdzie nasilenie dramatyczne dochodzi do szczytu.

Przedstawienia jednoaktówek Maltza w Teatrze Domu Wojska Polskiego (pod wspólnym tytułem „Oto Ameryka“) nie sposób zaliczyć do dobrych. O ile Adam Tarn dzięki adaptacji „Najszczęśliwszego człowieka“ i opracowaniu scenicznemu „Próby“ dał dobrą podstawę dla roboty reżysera, reżyseria Stanisława Perzanowskiej i zespół odtwórców poszczególnych ról nie podał na ogół zadaniu. Nie chodzi już nawet o ekspresjonistyczny styl gry, który narzucały już w pewnym stopniu same utwory, dzięki czemu przypominała się atmosfera niejednej z postępo-

Dokończenie ze str. 9)

wych inscenizacji (np. Schillera) sprzed wojny. Chodzi o jakość tego ekspresjonizmu.

W „Najszczęśliwszym człowieku“ J. Kondrat (bezrobotny) i J. Pałuszkiwicz (spedytor), interesujący w sylwecie i masce, wnosili właściwy nastrój we wstępnych, spokojnych partiach swej gry, natomiast zawadzili w partiach o większej dynamice tracąc umiar i nadużywając — gdy nie starczyło „wnętrza“ — głosu, ruchu i gestu. „Nie głosem, nie krzykiem“ — miało się chęć podszepnąć wskazówkę reżysera z „Próby“. Mimo wszystko końcowa scena niema miała swą ekspresję.

W „Szeregowcu Hicksie“ reżyserka nie dość śmiało wkroczyła w tekst dialogów, dużo było gadulstwa, przedstawienie rwało się, a sceny z przeczerńnionym kapralem (E. Dziekoński), wojowniczym Snyderem (W. Nanowski), szczególnie zaś z plebejzarką (St. Stępniońska) wygrane zostały na jednej ubożuchnej nucie. Poprawniej wypadły role Majora (St. Wroncki), Hicksa (J. Pietraszkiewicz) i Lee (Kl. Mielczarek). Zakończenie, nawet mimo naiwnego już w pomysłach autora motywu przysięgi, którą powtarza sterroryzowany Hicks, uzyskało pewien piękny patos.

W „Próbie“ J. Pichelskiemu udało się może najprawdziwiej zarysować typ Amerykanina, reżysera i działacza związkowego, a J. Skowrońska, choć za mało wyczuwało się w rozmowie z narzeczoną jej drugie „ja“, choć próba roli przypominała zanadto grę rzemieślników ze „Snu nocy letniej“, zdobyła się jednak na scenę końcową o prawdziwym dramatycznym napięciu.

Nie udało mi się niestety widzieć w roli Wiery Władysławy Nawrockiej, której kreacja spotkała się z dużym uznaniem publiczności.

Scenografia Romana Nowickiego znalazła szereg pomysłów motywów (żaluzje, kraty, balustrada), aby wyrazić plastycznie aluzję do koszarowej rzeczywistości i brzydoty amerykańskiego życia. Szczególnie wiele nastroju miał kantor w pierwszym obrazie.

Kierownictwo artystyczne Teatru Domu Wojska Polskiego objął niedawno świetny dramaturg Adam Tarn. Zapoznanie nas w przedstawieniu „Oto Ameryka“ z pełnym pasją, walczącym dramaturgiem tej drugiej, lepszej Ameryki było szczęśliwym posunięciem nowego kierownictwa. Chcielibyśmy teraz, aby mógł się stopniowo okazać realnym trudny postulat artystyczny: przywrócenia Teatrowi DWP tej pozycji, jaką zajmowała ta placówka jeszcze przed niewielu laty.

Andrzej Odnowa



Szydłowie. Mury obronne i sala rycerska

cie, że był on przebudowany już przed r. 1630, a więc przed pożarem, drugiej przebudowy dokonano w r. 1658 — 1664. Później w romańskiej świątyni dokonano licznych zmian, odbudowano szpetną kruchtę, zamurowano ładne portale, zatykanowano piękno stulecia.

Wybuch i ogień podczas ostatniej wojny zniszczył dach i całe wnętrze kościoła, legły w gruzy wszystkie przybudówki. I oto jesteśmy świadkami dziwnego zjawiska, wojna, która niszczy, burzy i spopiela, tu odsłoniła dawne, stare

szy i tapot nóg po schodach; ożywa stary dziedziniec zamkowy. Dziesiątki, setki dzieci, biegają po murawie, w rękach szeleszczą duże karty-świadectwa. Oto Alfreda Skotnicka przeszła do III klasy z wynikiem bardzo dobrym, dwaj bracia Marian i Jerzy — tym poszło trochę gorzej, ogólny wynik — dostateczny, ale są szczęśliwi, przeszli do następnej klasy.

W cieniu starych murów obronnych szumi młody las, młode pokolenie Szydłowa rozpoczyna wakacje. Leon Dwernicki

Juliusz DOMAŃSKI

51 WALNE ZGROMADZENIE POLSKIEGO TOWARZYSTWA FILOLOGICZNEGO

Literatura polsko-łacińska

POLSKIE Towarzystwo Filologiczne, stowarzyszenie naukowe, reprezentujące największą liczbę dyscyplin wiedzy o świecie starożytnym, ma już bogatą tradycję. W ubiegłym roku obchodziło ono na Walnym Zgromadzeniu w Warszawie swoje pięćdziesięciolecie, a trzeba zaznaczyć, że było to pięćdziesięciolecie nie istnienia, lecz działalności. Polskie Towarzystwo Filologiczne istnieje bowiem już blisko 60 lat, ale praca jego, przerywana dwukrotnie wojnami, w ubiegłym roku dopiero zamknęła się granicą lat pięćdziesięciu.

Zaszczytnym zadaniem tego stowarzyszenia fachowych naukowców i pedagogów oraz niefachowych sympatyków jest pogłębianie i popularyzowanie nauki o kulturze antycznej w najszerszym pojęciu tego słowa, tak że działalność naukowa Towarzystwa nie ogranicza się tylko do filologii klasycznej sensu stricto, ale obejmuje i inne dyscypliny wiedzy o świecie starożytnym: historię starożytną, archeologię klasyczną, papirologię, językoznawstwo, wybierające nie raz daleko poza filologiczną znajomość języków klasycznych, itp. Działalność popularyzacyjna polega na rozpowszechnianiu wiedzy o antyku grecko-rzymskim wśród najszerszych mas społeczeństwa, z młodzieżą szkolną włącznie, poprzez popularne odczyty i pogadanki. Nie mniej ważna jest również działalność dydaktyczna polegająca na zapoznawaniu nauczycieli szkół średnich zarówno z osiągnięciami nauki o świecie starożytnym, jak i z najnowszymi metodami pracy pedagogicznej w zakresie języków klasycznych i grecko-rzymskiej kultury antycznej.

Organem naukowym Towarzystwa jest rocznik *Eos*, który wychodzi w dwóch zeszytach: obcojęzycznym i polskim. Pierwszy z wymienionych zeszytów obejmuje przede wszystkim artykuły naukowe, pisane przeważnie po łacinie (ale także w językach nowożytnych, głównie francuskim i angielskim), rzadziej krytyczne recenzje książek i prac naukowych z zakresu filologii klasycznej i nauk pokrewnych; jest on przeznaczony, poza potrzebami naukowymi w kraju, także dla czołków naukowych za granicą. Zeszyt polski *Eosu* obok prac oryginalnych obejmuje także recenzje książek polskich i zagranicznych i obliczony jest przede wszystkim na potrzeby filologów polskich, czego oczywiście nie należy rozumieć w sensie wyłączeni, zeszyt polski cieszy się bowiem wielkim popytem również i zagranicą. Ten organ naukowy Polskiego Towarzystwa Filologicznego wychodzi od r. 1894, ale przez wojenne spowodowały, że ostatni wydany zeszyt łaciński za rok 1951 jest dopiero XLV rocznikiem.

TEGOROCZNE Walne Zgromadzenie Towarzystwa Filologicznego odbyło się w Toruniu (w dn. 28 i 29 VI) i poświęcone zostało twórczości polskich pisarzy nowołacińskich. Nie przypadkiem obrano to właśnie miejsce i taki temat obrad. — Wybór podyktowany był z jednej strony wzrastającym dziś w Polsce zainteresowaniem dla humanizmu (czego dowodem jest choćby przygotowywane przez PIW wydanie *De republica emendanda* Andrzeja Frycza-Modrzewskiego w oryginale i w przekładzie, czy *Poetyki* Sarbiewskiego, nad którą pracuje Instytut Badań Literackich), z drugiej strony zbliżającym się rokiem kopernikańskim, który polska nauka uczci reedycją dzieła *De revolutionibus orbium caelestium*.

Tematyka obrad była zresztą nie tylko wyrazem zainteresowań i potrzeb współczesnych ale i przedłużeniem wieloletniej działalności znacznej liczby polskich filologów, którzy choć studów nad kulturą świata antycznego — w mniejszym lub większym zakresie, ale zawsze z wielką pasją — uprawiali, jako zajęcia uboczne, studia nad polsko-łacińską literaturą humanistyczną i średniowieczną. Do tych tradycji właśnie nawiązał w swoim wstępnym odczycie pt. „Literatura polsko-łacińska — problemy i zadania” profesor Tadeusz Sinko z Krakowa, nestor polskiej filologii i najlepszy dziś znawca zagadnień literatury nowołacińskiej polskiej i obcej, tłumacząc, dlaczego od początku istnienia naukowej filologii klasycznej w Polsce jej przedstawiciele tak gorliwie zajmowali się humanizmem, i na przykładzie własnych badań nad humanistyczną historiografią, głównie nad Długoszem i Kallimachem, przedstawiając zadania stojące w zakresie humanistycznej (i średniowiecznej) historiografii przed filologiem klasycznym, który przez wyśledzenie w dziełach humanistów wpływów pisarzy starożytnych ma ułatwić współczesnemu historykowi odróżnienie prawdy historycznej od zniekształcających tę prawdę literackich zależności.

Dalsze odczyty były krótkimi komunikatami zawierającymi osiągnięcia poszczególnych uczonych w zagadnieniach, nad którymi aktualnie pracują. Profesor Ryszard Gansiniec z Krakowa omówił twórczość Andrzeja Krzyckiego na tle epoki, charakteryzując ją jako okolicznościową wprowadzającą wyrosła z potrzeb i nastrojów chwili, ale jednocześnie posiadającą wartości trwałe. W swoim krótkim odczycie dał on również bystrą ocenę dokonanego niegdyś przez prof. Kazimierza Morawskiego wydania poezji Krzyckiego, które, zdaniem prelegenta, zawiera o wiele więcej utworów nieautentycznych, oraz zwrócił uwagę na niewydane dotąd listy Krzyckiego, będące podobnie jak poezje ważnym pomnikiem jego literackiej twórczości. Odczyt profesora Bronisława Nadolskiego pt. „Poetyka dworskiej poezji nowołacińskiej w pierwszej połowie XVI wieku” był znakomitą charakterystyką zarówno samej poezji omawianego okresu, okolicznościowej, w pewnym sensie konwencjonalnej w uprawianych gatunkach literackich, ale o tematyce różnorodnej i bardzo ciekawej, jak i twórców, z których najważniejszym: Pawłowi z Krosna, Janowi z Wiślicy, Dantyszkiowi i Janickiemu, poświęcił prelegent dość — jak na krótki odczyt — wyczerpujące omówienie. Prelegent wspominał również o mecenasach tej dworskiej poezji, którzy popierali twórczość poetycką nie tylko dla zaspokojenia własnych potrzeb kulturalnych, ale też na wyraźne żądanie wykształconych mas plebejskich. — Dr Lidia Winniczuk omówiła szczegółowo podręczniki epistolograficzne w Polsce XV i XVI wieku, obalając na podstawie skrupulatnych badań niejedną od dawna pokutującą a z gruntu fałszywą pogląd w omawianym zagadnieniu, a dr Leona Witkowskiego dał przegląd toruńskich poetów nowołacińskich, najważniejszym z nich, poświęcając osobne charakterystyki.

Najciekawsze może były dwa odczyty o tematyce wydawniczej: profesora Kazimierza Kumanickiego „O przygotowywanym wydaniu Modrzewskiego „*De republica emendanda*” i profesora Stanisła-

wa Skiminy „Komunikat o druku *Poetyki* Sarbiewskiego”. Pierwszy z wymienionych prelegentów, wydawca piętnastowiecznej *Poetyki* Filipa Kallimacha Buonaccorsi, zajmujący się ostatnio przygotowaniem do druku tekstu łacińskiego dzieła Frycza-Modrzewskiego, zamieścił w swoim krótkim odczycie obok wnikliwych uwag edytorskich wiele ciekawych wniosków na temat rozwoju poglądów Modrzewskiego, jakie udało mu się wydobyc z analizy i zestawienia zmian poczynionych przez autora w dwóch kolejnych reedycjach dzieła o naprawie Rzeczypospolitej. Odczyt prof. Stanisława Skiminy informował o stanie dwu rękopisów *Poetyki* Sarbiewskiego, będących akademickimi skryptami poprawionymi przez autora, z których jeden stosunkowo niedawno odkrył w Polsce uczony rosyjski Riezanow oraz o przygotowywanym przez IBL wydaniu dzieła Sarbiewskiego.

Szereg krótkich komunikatów na temat literatury polsko-łacińskiej zamknął syntetyczny odczyt prof. Aleksandra Birkenmajera, który polemizując z pracą prof. Jerzego Kowalskiego o Koperniku dał ciekawą charakterystykę dzieła wielkiego astronoma na tle historycznego rozwoju naukowej astronomii od czasów starożytnych.

W obradach sekcji dydaktycznej uczestnicy zjazdu wysłuchali znakomitego odczytu wybitnego znawcy filozofii starożytnej, profesora Adama Krokiewicza, pt. „Dzieło Lukrecjusza”. Tematyka tego odczytu, wyłamująca się spod ogólnego programu, i umieszczenie go w obradach sekcji dydaktycznej — wywołane były aktualnymi prądami panującymi dziś w szkolnictwie w zakresie nauczania języka łacińskiego. Odczyt prof. Krokiewicza miał na celu ułatwić nauczycielom szkół średnich, mającym w myśl wskazań programów szkolnych zajmującym młodzież szkolną z filozofią starożytnych atomistów przez lekturę dzieła Lukrecjusza, zrozumienie trudnej problematyki Lukrecjuszowego poematu i wybranie z niego do lektury szkolnej ustępów o wartości najwyższej, które by dały młodzieży zarówno najwłaściwszy, bo oparty na źródłach, pogląd na starożytną filozofię materialistyczną, jak i wyraźny obraz sztuki poetyckiego Lukrecjusza. W myśl tych założeń odczyt prof. Krokiewicza poświęcony był głównie samemu dziełu Lukrecjusza, i to zarówno jego filozoficznej treści, jak i artystycznej formie, w mniejszym natomiast stopniu dotyczył tła historycznego, na jakim dzieło powstało. Omówiłszy naczelne zagadnienia włączające się z poematem Lukrecjusza prelegent podkreślił najwyższą i najtrwalszą jego wartość: entuzjazm badacza przyrody i kult jego dla prawdy mającej uszczęśliwić ludzkość przez usunięcie fałszywych mniemań i wpływających z nich nieuzasadnionych niepokojów.

DYSKUSJA nad odczytami, choć bardzo ożywiona i ciekawa, trwała niestety zbyt krótko i żadnego zagadnienia nie omówiła w sposób wyczerpujący, a to dlatego, że w dwu tylko dniach, przeznaczonych na odczyty, sprawozdania i wybór nowego zarządu, nie mogła przybrać należytych rozmiarów. Ogólną jej tendencją było wykazanie konieczności przebudowy polskiej filologii przez pracę nad zagadnieniami najbardziej istotnymi i aktualnymi, a najciekawsze uwagi wypowiedziano pod koniec obrad, w dyskusji nad rocznikiem *Eos*, wysuwającym postulat wydawania takich numerów tego poważnego pisma, które by zawie-

rały artykuły o problematyce jednolitej i zwartej i wciągnęły do planowej pracy nie tylko zespoły filologów polskich, ale także postępowych przedstawicieli nauki o starożytności z zagranicy.

T RUDNO w tym krótkim sprgrodzeniu nie wspomnieć, że organizujące zjazd Koło Toruńskie Polskiego Towarzystwa Filologicznego umiało w sposób bardzo pomysłowy połączyć „pożyteczne”, czyli część oficjalno-naukową, z „przyjemnym” a równie pożytecznym. To ostatnie stanowiło — poza gościnnym przyjęciem w zakresie kwatery i wyżywienia — przeznaczoną ku rozveseleniu filologicznych umysłów i serc „część ar-

tystyczna”, na którą złożyły się: ciekawa pogadanka dra Leona Witkowskiego o muzyce starożytnych Greków, ilustrowana oryginalnymi melodiami greckimi, recytacja utworów poetyckich toruńskich filologów — prof. Stefana Srebrnego, doc. Zofii Abramowicz, dra Brunona Witkowskiego — którzy niepospolitym talentem poetyckim dowiedli, że są docti nie tylko w pojęciu nowożytnym, ale i — horacjańskim, oraz recytacja znakomitego przekładu Pokoju Arystofanesa pióra prof. Srebrnego, który biorąc w niej czynny udział przewyższył doskonałym wykonaniem roli głównej fachowych artystów toruńskich.

FILM

„POD NIEBEM SYCYLIJ”

Pod niebem Sycylii — film prod. włoskiej reż. Pietro Germi, zdjęcia Gianni Villa, Muzyka Carlo Rustichelli, scenariusz: Mario Monicelli, F. Fellini, T. Pinelli, G. Mangione.

FILM włoski *Pod niebem Sycylii* postępowego reżysera Pietro Germi jest przykładem jakiegoś kompromisu między realizm, pełnym prawdy szczegółów obrazem środowiska i efektywnym, ale niedopowiedzianym i fikcyjnym wątkiem fabularnym.

Zasadniczy konflikt filmu — walka prawa oficjalnego z prawem na rzuconym w małym miasteczku przez słynną mafię, opiera się na jednym wielkim niedopowiedzeniu: prawo oficjalne i prawo mafii (mówi o tym nawet wbrew intencjom scenarzystów sam film) służą interesom tych samych ludzi, różniąc się tylko sposobami działania. Młody sędzia pełen najlepszych chęci chce przy pomocy obowiązujących paragrafów prawnych uzdrowić stosunki w miasteczku, w którym obejmuje władzę reprezentanta sprawiedliwości. Popada w konflikt z mafią, z baronem, który bezprawnie zamknął kopalnię soli pozabawiając pracy reszce robotników, z robotnikami słusznie nie wierzącymi w to, by jakikolwiek proces sądowy mógł ich ocalić od bezrobocia i ze swoimi władzami niezadowolonymi z tego, że gorliwość sędziego doprowadziła do kłopotliwego konfliktu między oficjalnym prawem i baronem.

Konflikt rozwijany realistycznie mimo pewnych przemilczeń zostaje rozwiązany całkowicie antyrrealistycznie. W miarę rozwoju akcji punkt ciężkości walki przesuwa się coraz wyraźniej na problematykę jednostkową. Walka z baronem reprezentującym się rządzącą przynajmniej mafią i decydującą także o posunięciach władz oficjalnych przesuwa się na osobisty konflikt. Sędzia znacznie bardziej zdecydowanie staje w obronie jednostek, aniżeli w obronie krzywdzonych robotników. Baron, zamiast wyzyskać swoje stosunki w Rzymie i legalnie pozbyć się niewygodnego sędziego okazuje brak opanowania i wywołuje zamach na życie sędziego.

Skompromitowany — musi na pewien czas opuścić miasteczko. Jednocześnie jednak skutkuje jego interwencja odgórna i zjawia się zwierzchnik sędziego, który nawiązuje młodego idealistę do złożenia dymisji. Sędzia zdecydowany opuścić miasto, dowiedziawszy się w chwili odjazdu o zamordowaniu jego jedynego przyjaciela, Paolino — zostaje, wygłasza przemówienie do nieufnej ludności miasteczka, oskarżając ją o oportuizm i tolerowanie zbrodni i odnosi nieoczekiwane zwycięstwo. Mafia bowiem wydaje w ręce sprawiedliwości zbrodniarza.

Zwycięstwo to jest sztuczne, świadczy o zupełnym przeniesieniu ciężkości filmu na efektywny ale nieprawdziwy schemat. Mafia nie jest w dokonane morderstwo zaangażowana. Zbrodniarz, zabijając Paolino, zdradził prawa obowiązujące bandę. Sześć mafii mści się na zdrajcy wydając go sędziemu, i triumf entuzjasty prawa jest triumfem bardzo pozornym i chwilowym. Kopalnia pozostaje zamknięta mimo niepowodzenia barona. Banda silna i wolna zostaje. Baron ma dalej całą swobodę działania i na pewno w oparciu o najbardziej oficjalne prawo i władze wygra proces o kopalnię i legalnie zwycięży opór sędziego.

Błędy filmu Germiego są, wydaje mi się, zupełnie odmienne od niedopowiedzeń innych znanych nam neorealistycznych filmów włoskich. Najgłośniejszą klasyfikując pierwsze neorealistyczne filmy, które oglądałmy na naszych ekranach (Rzym miasto otwarte — Słońce wschodzi) mówiły o problematyce wojennej i politycznej z wielką pasją demaskatorską i wiarą jednocześnie, że na gruzach zniszczonego świata powstanie świat lepszy i sprawiedliwy. Powstałe w okresie, kiedy okazało się, że ów nowy porządek opierał się na krzywdzie i niesprawiedliwości, filmy takie jak *Złodzieje rowerów*, *Ziemia drży*, mówiły odważnie o tej krzywdzie i niesprawiedliwości, zajmowały się ludźmi niszczeniymi przez system i samotnymi w walce o swój los. Niedopowiedzenie tych filmów wynikało z wyboru bohatera, człowieka nieświadomego najczęściej przyczyn swojej klęski albo jak w wypadku bohaterów Viscontiego, walczącego w środowisku, które nie rozumiało związku klęsk obojczyków z niesprawiedliwością ustroju. Niemniej rozwiązanie fabuły, los bohatera był zawsze zgodny z realistycznymi założeniami filmu. Samotny nędzarz ze „Złodziei Rowerów” musiał ponieść klęskę. Można było mieć pretensję do Zavattiniego i De Sici tylko o to, że zajęli się takim właśnie zubożonym w sprzecznościach świata człowiekiem, a nie pokazali bohatera rozumiejącego źródła swoich klęsk, prowadzącego świadomą walkę z tymi, którzy jego i tysiące podobnych pozbawili możliwości pracy. Niemniej tego rodzaju wybór bohatera nie mógł mieć wymowy realistycznej filmu.

Błąd Germiego należy do zupełnie innej kategorii.

Pod niebem Sycylii — to film, o którym można powiedzieć że realizm, tyczne założenia, pełen prawdy obraz środowiska został jakby zdradzony przez sposób rozwiązania konfliktu, przez efektywne, ale niezgodne z zawartymi w samej fabule filmu elementami realistycznymi, optymistyczne rozwiązanie fabuły.

Leszc

Amelia KOWALSKA

Zwiasłun współczesnego malarstwa

ZAZNAJOMIENIE się z twórczością Goyi rzuca światło na bardzo ciekawe zjawisko: rzadko kiedy wielki artysta skupił w sobie w takim stopniu cechy swego narodu a dziełem swoim dał obraz historii. Zapoznanie się z twórcą tej mia-

zdołała się na własny styl. Sztuka hiszpańska znalazła się w cieniu. Rozpalił ją i tchnął w nią ducha — Goya. Złożyły się na to nie tylko genialna indywidualność artysty, jego wartości jako malarza, ale i stosunek jego do rzeczywistości.

rów. Zbratanie to robi z niego znawcę, bywalca areny, a historię malarstwa hiszpańskiego wzbogaci o słynne Tauromaquia (sceny z walk byków). We Włoszech studiując mistrzów: porównywa, rozmyśla, spędza dni całe przed jednym i tym samym obrazem. Wracą do Madrytu i w błyskawicznym czasie staje się nadejściem malarzem króla. Jest już wówczas głośny w Europie.

Ale kariera Goyi zaczyna się wcześniej. Już w pierwszych swych pracach zwraca się ku rzeczywistości. „Kobiety piorące bieliznę w rzece”, „Ślepy gitarzysta”, „Umajony drąg” wykazują zdolności kolorystyczne, realistyczne i obserwatorskie, które następnie posłużą mu przy portrecie. We wzorach dla tkanin dekoracyjnych dla królewskiej manufaktury, których tematem są obyczaje i gry ludowe, malownicze sceny, kiermasze, werwa przebiega się z fantazją, a zmysł obserwacji — ze zrozumieniem życia ludu.

Ku malarstwu portretowemu, które stanowi kluczową pozycję w twórczości Goyi, miał jakby skierować go wpływ Velasqueza. Faktem jest,

w świetle, jak wizerunek twarzy i postaci staje się wizerunkiem duszy. Portrety Goyi wykazują zadziwiającą giętkość jego talentu.

Specjalną dziedzinę stanowią portrety Dworu i ówczesnych wielkości. Ale portretów Dworu nie owiewa słodka melancholia Watteau. Intelktualista, syn ludu, Goya widział nędzę wielkich, znał sekrety Dworu, znał swoje czasy — i epokę i Dwór smagał. Tło na portretach jest neutralne, całe światło, koloryt, koncentruje się na modelu, aby dotrzeć do dna duszy. Niebezpieczny to był malarz. Malując człowieka, przenikał go na wskroś — demaskował. Tak jest z portretami królewskimi, które robią wrażenie złośliwej satyry. Takim jest „Ferdynand VII”, takim „Karol IV Burboński” — płótno dające świetną charakterystykę króla.

„Portret rodziny królewskiej” odpycha i przykuwa zarazem. Odpycha tematem, którym jest smutna degeneracja rasy, przykuwa koloryt, bogactwem oprawy — wibracją tonów, odcieni blasków jedwabi, srebra, złota, drogich kamieni.

Prócz portretów na zamówienie, których nie znośił, maluje też inne, dające wytchnienie oczom i duchowi. Maluje torreadorów, prosty lud, przyjaciół, piękności kobiece — „Pani Sureda”, „Księżna Alba”, „Kobieta z złotym szalem”, wreszcie obie „Maje”, które powstają w tym czasie co „Portret rodziny królewskiej”, a które wywołały najsprzecznijszą ocenę. „Maja desnuda”, obok Velasquezowskiej „Venus z lustrem” jest jedynym w malarstwie hiszpańskim klasycznym aktem kobiecym.

Jakaż różnica w tych portretach, robionych nie na zamówienie. Tam satyryk, „pastwiący” się nad modelem, — tu artysta, porwany samym modelem.

Bogactwo kolorytu osiąga pełnię w „Cudzie św. Antoniego”, gigantycznym malowidle, dającym wyraz instynktu goyowskiego i ówczesnej duchowości katolickiej. Tłum rozkołysany, różnorodny, brak skupienia na twarzach nawet aniołów, zbyt zmysłowa postawa serafinów, (która wywołała oburzenie monarchów), zresztą sam wybór tematu (św. Antoni wskrzesza zmarłego, aby dowiedzieć się nazwiska jego zabójcy) mają swoją wymowę. Obraz odzwierciedla podstawowe cechy temperamentu malarza, którego fascynowały ruch, formy, koloryt, zmysłowość, ale którego poza tym charakteryzuje w tym okresie co najmniej brak szacunku dla spraw religijnych. Od „Cudu św. Antoniego”, długa droga do „Ogrodu Oliwnego”, a zwłaszcza do „Komunii św. Kalasantego”, obrazu powstałego u schyłku życia, a wyrażającego nie tylko inną technikę malarską, ale i inną koncepcję życia. Świetlistość tego obrazu ukazuje coś z odczucia „smaku rzeczy bożych”, a gra cieni i światła wyraża przedziwne drżenie duszy.

Prawie równocześnie z wielkimi płótnami dla Dworu powstają pierwsze akwaforty „Kapryśów”, gdzie do głosu dochodzą nowe elementy.

„Kapryśy” zaludniły demony, żarłoczni zakonnicy, starcy, garbusy, ślepy, karły w otoczeniu potworów — cała kawałkada grzechów, cały obraz rozkładu społecznego epoki. Pod pokrywką pozornej fantazji, mającej zresztą swoje głębokie tradycje w tak bardzo hiszpańskim lubowaniu się w monstrualności i pewnego kultu brzydoty, kryje się satyra bezlitosna, chłoszcząca obskurantyzm, głupotę, pychę, obłudę, kłamstwo. „Kapryśy” to nie tylko w grotesce zdeformowany bliźni, to nie tylko pyszna galeria typów. W

„Kapryśach” Goya atakuje obłudę księży, tępą gruboskórność tłumy, przekupstwo ministrów i urzędników.

O malarza upomina się Inkwizycja i kto wie, jak skończyłaby się sprawa, gdyby nie ratunek ze strony króla, któremu Goya ze spokojną czelnością dedykował pierwsze wydanie sztychów.

Upadek Burbonów, inwazję wojsk napoleońskich, walki powstańcze ludu przeciw wrogim przybyszom przeżywa malarz całą siłą swego temperamentu. Widział piekło wojny. Okres ten — to nowa karta w twórczości Goyi. Zmiany polityczne wita z radością, ale gdy lud powstanie przeciw najeźdźcy, Goya jest po stronie ludu.

„Kłęski wojenne” — to cykl obrazów, które staną się aktami jego „guerilla”. Maluje to, co widzi, co najboleśniej przeżywa. Całe piekło wojny, nieszczęście swego ludu zaklina w rysunek. „Drugiego maja”, „Trzeciego maja” — sceny krwawo tłumionej przez żołnierzy cesarskich rewolty ludu należą do skrajnie realistycznych obrazów Goyi. W „Wypadkach majowych” światło skoncentrowane na rozstrzeliwanych przez wojska francuskie nieszczęsnych obywateli Madrytu, jest rozdzierającą skargą malarza. (Obraz ten stanie się przeżyciem dla Maneta, który znalazł w nim jednocześnie mistrzowskie rozwiązanie problemu światła).

W cyklu tym są płótna, są też akwaforty, do których wraca teraz malarz jako do powierniczki bolesnych przeżyć. Wstrząsające są te obrazy. Wydobywają całą ohydę wojny i są oskarżeniem tych, którzy ją prowadzą. Technika malarska w tym czasie ulega zmianie. Już „Kapryśy” stały się ilustracją goyowskiego „w naturze nie ma ani barwy, ani linii, jest tylko światło i cień”. W „Kłękach wojennych” artysta kontynuuje tę manierę, osiągnął jej szczyt w końcowym etapie swego życia, w portretach przyjaciół, malując je w barwach czerwono-białych. Gra światła czarno-białego portretu „Ramana Satüe” daje wrażenie najbogatszej gry kolorów. Nie darmo wyrzekł swoje sławne zdanie: Kawałkiem węgla zrobię wam najpiękniejszy obraz świata.

Goya nie daje się ująć w jakieg ramy. Jest tak różnorodny, nosi w



Egzekucja 3 maja 1808

ry co Goya, to dotknięcie się Hiszpanii — to poznanie Hiszpanii heroicznej, nieubłaganej, zmysłowej, lubującej się w tematach makabrycznych, mistycznej i realistycznej — kontrastowej. Goya należy do tych postaci, bez których Hiszpania byłaby niekompletna. Czyny ją bliższą — żywą. Kolejne etapy jego życia i twórczości ukazują ją nam z coraz to innej strony, dając w sumie żywy obraz rasy i epoki.

Goya posiadał głęboką znajomość swoich czasów i przeżywał je, pozostając wierny swej naturze wielkiego artysty i Hiszpana. Mistrz ten — rzecz dziwna — nie stworzył szkoły — ale rzucił na smutną epokę dekadencji blask swej oryginalności i przerzucił most, łączący sztukę dwu odrębnych stuleci.

Horyzontów sztuki hiszpańskiej w tym okresie nie oświetla żadne oryginalniejsze dzieło, jest ona chłodna, smutna, nosząca znamiona dekadencji. Dwór faworyzował smak francuski i popierał obcych artystów, głównie włoskich, nie też dziwnego, że szkoła oficjalna, skłócona różnymi wpływami zagranicznymi, nie

Czasy dekadentyzmu w sztuce hiszpańskiej, płytkiego akademizmu — stylu bez życia w sztuce francuskiej były jednak czasami, w których dojrzewała rewolucja. Zjawisko ciekawe: ze wszystkich krajów, gdzie jej wiew dotarł, jedna Hiszpania wydała prawdziwego obrzydła rewolucji, ze wszystkich twórców tych czasów jedynie Goya stał się wyrazicielem nowego ducha. Na pół świadom czasów idących, wybuchnął satyrą i to żyjąc w kręgu najbliższego otoczenia króla.

Urodził się w roku 1746 jako syn chłopca aragońskiego. Talent miał w nim odkryć jakiś mnich z klasztoru Kartuzów, ale tak jak wiele innych faktów jego życia — i ten otoczyła legenda.

Burzliwa była jego młodość. Życie rozpustne i awanturnicze, które wiedzie w Saragossie, zwraca uwagę Inkwizycji, co zmusza Goyę do ucieczki do Madrytu. Jedzie następnie do Włoch. „Jedzie” — to może zbyt szumnie brzmi — przecież pięniędzy na podróż nie ma, ale ma odwagę i siłę niepospolitą, wstępuje więc do wędrownego trupy torreado-



Autoportret (przed rokiem 1783)

że Goya uwielbiał swego wielkiego poprzednika i studiował go. Velasquez ukazał mu jak modelować ciała w przestrzeni, jak nabierają one barwy

W imię ścisłości

PRASA codzienna niejednokrotnie wskazuje na zabytki kulturalne, zamki, pałace, jako na cel wycieczek niedzielnych za miasto. Jest to inicjatywa, której jak się to mówi, „przyklasnąć” tylko należy. Trzeba by tu tylko baczniejszą zwrócić uwagę na informacyjną stronę sprawy. A informacje tego rodzaju niekiedy nie grzeszą ścisłością. Tak np. „Express Wieczorny” w n-rze z dnia 2 lipca rb. w notatce pod tytułem: „Architektoniczne cacko” za: chęcią do odwiedzenia pałacu ongi Bielińskich w Otwocku Wielkim pod Warszawą. Istotnie pałac ten, jest ze wszech miar godnym wzięcia. Ale autor informacji „Expressu”, który dokładnie wskazuje turyście drogę do tego obiektu, jest już mniej ścisły, gdy przechodzi do opisu. Pomijam tu, iż zdaniem jego „wyspę, na której wznosi się pałac otacza z jednej strony gębokie, o stromych brzegach jezioro — obiekt bardzo rzadki w okolicach Warszawy”, podczas gdy w danym wypadku mamy tu zalew wiślany łączący się bezpośrednio z Wisłą, a spotykany często w okolicach Warszawy na dawnym łożysku rzeki, jak np. w Powislu, czy w Czernsku. I pomijam „przepiękne płaskorzeźby zdobiące zewnętrzne strony pałacu”, podczas gdy główną ozdobą elewacji są sztukaterie rokokowe istotnie b. oryginalne i bogate. I pomijam wreszcie, iż „wewnątrz pałacu

trwają prace konserwatorskie zabezpieczające cenne malowidła na ścianach”, podczas gdy malowidła te, freski zdobiące wnętrza kilku sal pałacu, są tylko fragmentem prac konserwatorskich zakrojonych na b. szeroką skalę, skoro chodzi tu nie tylko o ściany, ale i o stropy, podłogi, klatki schodowe itp.

Natomiast nie można pominąć „informacji” dotyczącej „ostatniego Bielińskiego”. Autor rozprawił się z nim krótko: był to jego zdaniem „targowiczanie”, który „prze-frymarczył kraj a pałac i dobra przepuścił w hulankach i grze w karty”.

Mowa tu o Franciszku Bielińskim. Był to bratanek tegoż imienia i nazwiska marszałka wielkiego koronnego, znanego z prac majających na celu uporządkowanie Warszawy w dobie saskiej, tego samego, któremu ulica Marszałkowska w Warszawie zawdzięcza swą nazwę. Otóż Franciszek Bieliński, „młodszy”, który odziedziczył Otwock po swym bezdzietnym stryju, był jednym z najświetlejszych ludzi swej epoki zwanej dziś przez nas „Wiekami Oświecenia”. Otrzymał nadzwyczaj staranne wychowanie i był pierwszym z obywateli, który odpowiedział na uniwersał Komisji Edukacyjnej wzywającej do udzielenia rad w sprawie wychowania. Jako jeden z najczynniejszych członków tego pierwszego w Euro-

pie ministerstwa oświaty był autorem projektu powszechnego nauczania w Polsce, przy czym szczególną uwagę zwracał na konieczność wykształcenia kobiet, sprawę raczej pomijaną w reformach Konarskiego. Magnat, żonaty z księżniczką Sanguszkówną, piastujący wysoką godność pisarza wielkiego koronnego nie wahał się stanąć na rozkaz Kościuski i jako obywatel godny ze wszech miar zaufania mianowany został kontrolerem komisji dostarczającej furazę i kwater dla dywizji Kościuski, Poniatowskiego i Zajęzka w czasie oblężenia Warszawy latem r. 1794, przy czym ofiarował w tym czasie na rzecz powstania plony z dóbr Otwockich. Zmarł w r. 1809. Otwock tj. pałac i dobra zniszczone w czasie powstania przeszły w ręce Otwockich. Zmarł w r. 1809. Tekli, do rodziny Łubieńskich, od nich zaś w r. 1827 nabyte zostały przez Kurtzów. Pałac opuszczony w połowie zeszłego stulecia ulegał zaczął z biegiem czasu ruinie, z której dziś po stu latach z górą dźwignięty został przez władze konserwatorskie Polski Ludowej. Tak więc moim skromnym zdaniem, informując czytelnika o „ostatnim Bielińskim” trudno go charakteryzować jako „targowiczanie, hulakę i karciarza”, jest się bowiem w takim razie dalekim od prawdy.

A przecież, gdy chodzi o informacje musimy być ścisli. Kpk



Roznosicielka wody

sobie tyle przeciwieństw (zresztą charakterystycznych dla jego kraju), że nie podobna nazwać go ani naturalistą, ani klasycykiem, ani też prekursorom impresjonizmu. Jest tym wszystkim naraz. Wywarł wielki wpływ na malarstwo XIX wieku we Francji: Millet, Daumier, Degas, Renoir, Van Gogh, Rouault stali się jego dłużnikami, a sztuka współczesna znajduje w nim swego zwiasłuna.